

Tow. Przyjaciół nauk w Przemyślu.

1177

D *Lit*

wa-2-60

GUBERNATOR
CHRZEŚCIANIE ② KŁAMSTWO

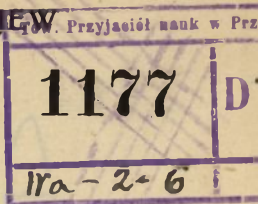
1177
1177

G.D.F.
Christ

QUBERNATOR
CHRISTIANE REFORMATIONIS



LEONIDAS ANDREJEW Tow. Przyjaciół nauk w Prz



GUBERNATOR

CHRZEŚCIANIE ❁ KŁAMSTWO

== TŁÓMACZYŁ Z ORYGINAŁU ==
BOLESŁAW PODLEWSKI



KRAKÓW
== G. GEBETHNER I SPÓŁKA ==

1907

LEONIDAS ANDREW
1175
A-19742



1000173292

Liter 13 b



K.1160/56/835

GUBERNATOR



GUBERNATOR

1

Kr. 1160/56/835

I.

Piętnaście dni minęło od chwili, jak się to stało, a on wciąż myślał o wydarzeniu, jak gdyby czas zatracił władzę nad pamięcią i wypadkami lub zatrzymał się, podobny do zepsutego zegara. Gdy zaczynał myśleć o czemś — chociażby o czemś najbardziej sobie obcym, najbardziej dalekim, — myśl wylekła stawała przed owem zajściem fatalnym, była weń bezsilnie, niby w ścianę więzienną, wysoką, głuchą, nieprzystępną. Dziwnemi bo drogami wlekła się ta myśl: zaledwie utonie wspomnieniami w dawnej podróży po Italii, pełnej słońca, młodości i pieśni, lub gdy przypomni sobie jakiegobądź włoskiego nędzarza, wnet staje mu przed oczami tłum robotników, słyszy wystrzały, czuje zapach prochu, krew. Albo powionie nań zapach perfum i przypomni mu się chustka naperfumowana, którą dał znak, aby strzelano.

Z początku to kojarzenie się wyobrażeń było logiczne i zrozumiałe, a stąd nie niepokojące, chociaż

dokuczliwe, wkrótce jednak wszystko, o czem tylko pomyślał nieoczekiwanie, głupio, boleśnie, niby uderzenie z za węgła, przypominało mu owo zajęcie. Zaśmiał się; — a wnet, jak gdyby z daleka, do uszu jego dolatywał własny generalski śmiech i przerażająco wyraźnie widział kogoś z zabitych, chociaż mu ani przez myśl nie przeszło śmiać się wtedy, a również nie śmiał się nikt inny. Dość mu było wsłuchać się w szczebiot jaskółczy, spojrzeć na krzesło, najzwyklejsze krzesło dębowe, dość rękę wyciągnąć po chleb, by widzieć przed sobą ów nigdy nie znikający obraz: powiew białej chustki, strzały, krew. Mieszkał jak gdyby w pokoju o tysiącach drzwi, które na oścież otworzył; widział zawsze jeden i ten sam nieruchomy obraz: powiew chustki białej, strzały, krew.

Sam przez się fakt był bardzo prosty, chociaż smutny. Robotnicy z fabryki podmiejskiej, strejkujący od trzech tygodni, przyszli do niego wraz z żonami, dziećmi i starcami z żądaniami, których on, jako gubernator, uwzględnić nie mógł. Zachowywali się przytem wyzywająco i zuchwale; wrzeszczeli, wymyślali urzędnikom, a jedna z kobiet, wyglądająca na waryatkę, jego samego tak silnie pociągnęła za rękaw, że aż szew pękł na ramieniu. Później, gdy osoby, należące do jego orszaku, wyprowadziły go na balkon, — pragnął on jeszcze porozumieć się z tłumem i uspokoić wzburzenie — lecz robotnicy poczęli rzucać kamieniami, wybili parę

szyb w urzędzie gubernialnym i zranili policmajstra. Wtedy uniósł się i dał znak chustką.

Tłum był tak wzburzony, że salwę trzeba było powtórzyć. Więc wielu legło trupem: czterdziestu siedmiu ludzi, pośród nich dziewięć kobiet i troje dzieci, niewiadomo dlaczego same dziewczęta. Rannych jeszcze więcej. Pod wpływem jakiejś dziwnej, niedającej się owładnąć, męczącej ciekawości, wbrew przekonywaniom otaczających, pojechał oglądać zabitych, zwalonych do wozowni straży ogniowej, położonej w trzecim cyrkułe policyjnym. W rzeczy samej nie należało tam jechać, lecz on, jak człowiek, który bez celu, nagle i nieostrożnie z broni palnej wystrzeli, czuł potrzebę dognać kulę i pochwycić ją w palce. Wydawało mu się, że gdy on sam, osobiście, obejrzy zabitych, to coś zmieni się na lepsze.

W długiej szopie było ciemno i chłodno. Zabici, nakryci długą szarą płachtą, leżeli w dwóch prawidłowo ukształtowanych szeregach, jak gdyby przygotowani na nadzwyczajną wystawę; prawdopodobnie robiono przygotowania na przyjazd gubernatora, i zabitych ułożono we wzorowym porządku, ramię przy ramieniu, twarzą do góry. Płachta przykrywała tylko głowę i część wierzchnią tułowia, nogi, jak gdyby dla przeliczenia, pozostały nienakryte — nieruchome nogi; jedne w wykoszlawionych butach i trzewikach, inne gołe i brudne, a jednak, pomimo brudu i opalenia od słońca,

świecące dziwną jakąś białością. Dzieci i kobiety ułożone były oddzielnie, na boku. Widać i w tem był zamiar ułatwienia czynności oglądania i porachowania trupów.

Było cicho — zbyt cicho wśród takiego mnóstwa ludzi. Wchodzący tu żywi nie mogli zakłócić ciszy. Za drewnianą z cienkich desek przegrodą stajenny opatrywał konie; prawdopodobnie nie domyślał się, że tam za ścianą jest jeszcze ktoś więcej, prócz trupów, mówił bowiem do konia spokojnie i dobrodusznie:

— Tpru, dyable! Stój, kiedy do ciebie mówię.

Gubernator spojrział na rzędy nóg i rzekł stłumionym basem, nawpół szeptem:

— A jednak wiele...

Z za pleców jego wysunął się wtedy pomocnik prystawa¹⁾, bardzo młody, z wygoloną, ogorzałą twarzą i, salutując, raportował głośno:

— Trzydziestu pięciu mężczyzn, dziewięć kobiet i troje dzieci, jaśnie wielmożny panie.

Gubernator zmarszczył brwi gniewnie. A pomocnik prystawa, salutując znowu, znikł za jego plecami. Pragnął, aby gubernator zwrócił jeszcze uwagę na ścieżkę między dwoma szeregami trupów, starannie wymiecioną i wysypaną piaskiem, lecz gubernator tego już nie zauważył.

¹⁾ Prystaw — komisarz, czuwający nad bezpieczeństwem publicznem i porządkiem w mieście. (Przyp. tł.).

— Dzieci troje?

— Troje, jasnie wielmożny panie. Czy jasnie wielmożny pan każe ściągnąć płachtę?

Gubernator milczał.

— Są tu różne twarze, jasnie wielmożny panie — poczem biorąc milczenie za rozkaz, zmienił nagle ton głosu i zawołał półszepem:

— Iwanow! Sidorczuk! prędko, za ten koniec, no — no!

Brudno-biała płachta opadła z cichym szelestem, a z pod niej wypłynęły jedna za drugą twarze białe, brodate i stare, młode i bez zarostu, twarze ludzi różnych, lecz złączonych z sobą straszny podobieństwem, jakie nadaje śmierć. Ran i krwi prawie nie było — ukrywały się pod odzieżą; u jednego tylko z poległych oko, wybite kulą, czerniało głęboko i nienaturalnie. Zdawało się, że płacze — jakąś ciemną cieczą, podobną po nocy do dziegciu. Większość patrzyła jednakiem, bezmyślnem wejrzeniem; niektórzy zaś zmrużyli powieki, a jeden zakrył twarz dłonią, jak gdyby zasłaniał się od światła. Pomocnik przystawa z politowaniem spojrział na tego trupa, naruszającego ustanowiony porządek. Gubernator wiedział napewno, że te właśnie osoby stać musiały w najbliższych nięgo szeregach; na wielu prawdopodobnie patrzył, gdy z nimi rozmawiał, lecz teraz żadnego z nich poznać nie mógł. Ten nowy wygląd, jaki im śmierć nadała, uogólniał wyraz ich fizynomii. Leżeli nie-

ruchomi, martwi, wrosli w ziemię, jak figury gipsowe, o jednym boku płasko ściętym, aby mogły się utrzymać na miejscu. Nieruchomość ich jednak wydawała się złudzeniem. Milczeli — lecz, i w to milczenie nie chciało się wierzyć. Na licach tych ludzi malowało się takie wyczekujące skupienie utajonej myśli, że w ich obecności niełatwo było rozmawiać. Gdyby miasto w mgnieniu oka skamieniało nagle wraz z wszystkimi swymi mieszkańcami, idącymi i jadącymi, gdyby słońce zatrzymało się w biegu, a roślinność i wszystko wokoło zamarło w jednej chwili, przybrałoby ono z pewnością taki sam charakter nurtu, niespodzianie powstrzymanego tamą, oraz baczного oczekiwania i zagadkowej gotowości zwrócenia się ku czemuś niewytlómaczonemu.

— Śmiem zapytać, czy jaśnie wielmożny pan rozkaże zamówić trumny, czy też jedną mogiłę bratnią? — głośno powiedział pomocnik przystawa. Poważne znaczenie wypadków i zamieszanie, jakie sprawiły, pozwalały mu — jak mniemał — na pewną, pełną szacunku poufałość z zwierzchnikiem. Był jeszcze młody.

— Jaką mogiłę bratnią? — zapytał roztagoniony gubernator.

— Oto, jaśnie wielmożny panie, kopie się dół głęboki...

Gubernator odwrócił się ze wstrętem; po chwili wyszedł z szopy. Gdy siadał do powozu, posłyszał

głośne skrzypienie zardzewiałych zawiasów. Zamykano trupy.

Następnego dnia, podniecony tą samą dręczącą go ciekawością — oraz chęcią nie pozwolenia, aby skończyło się i dokonało to, co już było skończonym i dokonanem — odwiedził rannych w szpitalu miejskim. Martwi przynajmniej nań patrzyli; od tych zaś nie mógł doczekać się wejrzenia. W uporze, z jakim od niego odwracano oczy, odczuł niemożliwość cofnięcia tego, co się już stało. Koniec! Skończyło się, coś olbrzymiego. Niema pogo i do kogo rąk wyciągać dłużej.

Od tej chwili zdało mu się, że czas się zatrzymał, że rozpoczęło się coś, z czego nie mógł sobie zdać sprawy, czego nawet nie umiał nazwać po imieniu. Nie był to żal — czuł się bowiem usprawiedliwionym; nie była to litość, owo uczucie tkliwe, wyciskające łzy z oczu i serce otulające ciepłym i miękkim pokrowcem. O zabitych — nawet o dzieciach — myślał spokojnie, jak o figurach z masy papierowej. Wydawali mu się połamanymi lalkami, których cierpienie przedzgonnych nie odczuwał wcale. Nie mógł jednak o nich nie myśleć. Te figury z masy papierowej, te połamane lalki widział ciągle. Wyglądało to na jakąś nie dającą się rozwiązać zagadkę, podobną do czarów, o których niańki opowiadają dzieciom. Dla wszystkich, od owych wypadków, upłynęło cztery, pięć, może siedem dni, dla niego nie minęła ani godzina.

Cały tkwił jeszcze duchem w momencie, w którym rozległy się strzały, gdy białą chustką dał znak do strzelania; tonął w odczuciu czegoś dokonywającego się bezpowrotnie i bezpowrotnie dokonanego.

Wierzył mocno, że uspokoiłby się i zapomniał o wszystkim, gdyby otaczający mniejszą na niego zwracali uwagę. Lecz w ich zachowaniu się w jego obecności, w ich spojrzeniach i gestach, w ich grzecznie i z uszanowaniem wygłaszanych mowach, zwróconych jakby do nieuleczalnie chorego, dźwięczało ciągle to przeświadczenie moralne, że on myśli, że on nie może, nie powinien zapomnieć o tem, co się stało.

Dnia następnego policmajster przynosi mu pocieszające nowiny: dwie, czy trzy osoby z pośród rannych wyzdrowiały i wypisały się ze szpitala. Co rano, żona, Marya Piotrówna, dotyka wargami jego czoła, czy nie zbyt gorące. Pyta się, czy nie cierpi na niestrawność po zieleninie, której za wiele zjadł wczoraj nierozważnie. Co za głupota! W tydzień potem przyjeżdża z wizytą jego świątobliwość Misaił. Z pierwszych, wypowiedzianych przez niego zdań widać, że kłopotce się tem samem, co wszyscy, więc chrześcijańskie sumienie gubernatora uspokaja. Robotników nazwał zbrodniarzami, jego zaś: twórcą pokoju i — co za przebiegłość — nie cytował ani jednego tekstu biblijnego, wiedząc dobrze, że gubernator nie jest wielkim zwolennikiem

krasomówstwa popskiego. Wstrętnym i godnym politowania wydał mu się ten starzec, bezcelowo okłamujący własnego Boga.

W ciągu rozmowy podsuwał archirej¹⁾ ucho swoje do ust gubernatora. Ten zaś zaczerwieniony i rozgorączkowany gniewem, nachyliwszy się ku niemu, wydał wargi i głucho rechotał w miękka, bezkrwistą konchę, okrytą siwawym puszkciem:

— Zbrodniarze, nie zbrodniarze! Gdybym był na miejscu jego świątobliwości, odprawiłbym panichidę²⁾ za zabitych.

Archirej odsunął ucho, rozłożył na brzuchu suche, do łap gęsich podobne ręce i, skłaniając głowę, odpowiedział z pokorą:

— Każde stanowisko ma swoje ciernie. Ja, gdybym był na miejscu jaśnie wielmożnego pana, nie kazałbym strzelać, żeby nie trudzić duchowieństwa panichidami, za... bądź co bądź... zło-
czyńców.

Następnie pobłogosławił go miłościwie i, szeszcząc jedwabiem, popłynął ku wyjściu. Wyglądał tak, jakby się kłaniał każdej rzeczy, około której przechodził i jakby wszystko błogosławił. W przedpokoju długo i z lubością parał się z głębokimi, jak czółna kaloszami, zwracał ucho to na prawo to na lewo, a gubernatorowi, który ze wstrętem —

¹⁾ Archirej — biskup prawosławny. (Przyp. tł.).

²⁾ Panichida — nabożeństwo żałobne. (Przyp. tł.).

jedynie tylko ze względu na najzwyczajniejszą uprzejmość towarzyską — pomagał mu ubierać się, powtarzał ciągle grzecznie:

— Proszę się nie męczyć, jasnie wielmożny panie, proszę się nie męczyć...

Z tego znowu wyciągnąć należało wniosek, że gubernator jest nieuleczalnie chorym, któremu szkodzi wszelki wysiłek.

Tegoż dnia przyjechał za tygodniowym urlopem syn gubernatora, oficer, i, chociaż starał się być wesołym i dowcipnym i nie nadawał niezwykłego znaczenia swemu przybyciu, czuć jednak było, że przygnała go taż sama niepojęta troska o ojca. O zajściu całem odzywał się dosyć swobodnie i zakomunikował nawet, że w Petersburgu są zachwyceni nadzwyczajnem męstwem i hartem Piotra Iljicza, jednakże doradzał sprowadzić secinę kozaków i podjęcie jak najszybsze środków ostrożności.

— Jakich środków? — dziwił się gubernator, ale należytej odpowiedzi na swe zapytanie doczekać się nie mógł.

W mieście panowała zupełna cisza i spokój. Więc tem bardziej uważał za rzecz poniżającą uciekać się do jakichkolwiek środków ostrożności. Robotnicy natychmiast wzięli się do pracy; spokojnie odbył się pogrzeb, chociaż policmajster zawsze czegoś się lękał i trzymał całą policję w pogotowiu. Nic nie wskazywało, ażeby po raz

drugi miały powtórzyć się zaburzenia z dnia 17 sierpnia.

Nareszcie, na skutek jego wiernego raportu o wypadkach, otrzymał on z Petersburga najwyższe podziękowanie i pochwałę. Zdawałoby się, że na tem powinny się wszystko skończyć i przejść do przeszłości.

Do przeszłości jednak nie przechodziło. Trup minionych zdarzeń, pozbawiony pogrzebu, wyrwawszy się z pod władzy czasu i śmierci, tkwi nieruchomy w mózgu. Co wieczora kładzie on go do mogiły. Mija noc, następuje poranek i znów przed nim, zasłaniając sobą świat cały, rozpoczynając i kończąc wszystko, stoi niewzruszony ów skamieniały, wyrzeźbiony obraz: powiew białej chustki, strzały, krew.

II.

Gubernator dawno już przestał przyjmować u siebie. Wybiera się na letnie mieszkanie i czeka na urzędnika do szczególnych poruczeń, Kozłowa, który pojechał za sprawunkami dla gubernatorowej. Siedzi w gabinecie pośród papierów, lecz nie pracuje. Myśli. Po chwili wstaje i, wkładając ręce w kieszenie czarnych, z czerwonymi lampasami spodni, odrzucając w tył siwą głowę, chodzi po pokoju ogromnymi, pewnymi krokami wojskowymi. Zatrzymuje się wreszcie koło okna i, rozpostartszy grube tłuste palce, rozumuje:

— O co mi właściwie chodzi?

Dopóki myślał, był zwyczajnym Piotrem Iljiczem, człowiekiem jak inni — z pierwszym jednak dźwiękiem głosu i owym wyżej określonym gestem, poczuł się gubernatorem, generał-majorem, jaśnie wielmożnym. Doznaje miłego wrażenia, myśli jego rozbiegają się, lecą — i porywczo, po gubernatorsku potrząsnąwszy lewym epoletem, od-

chodzi od okna i znów mierzy pokój. »Tak chodzą gu-ber-natorzy« — rozmyśla, przy odgłosie szerokich, miarowych kroków; wreszcie siada, starając nie poruszać się wcale, by jakimś ruchem niestosownym nie wywołać w sobie »gubernatorstwa«.

Dzwoni.

— Nie przyjechał?

— Nie, jaśnie wielmożny panie.

Gdy lokaj zgięty we dwoje miękko wymawia tytuł, przypomina sobie nagle: »Tam są szyby potłuczone, a ja ich jeszcze nie oglądałem. Do tej pory nie oglądałem«.

— Jak przyjedzie, daj mi znać. Będę na sali.

Ramy wysokich okien podzielone były staromodnie na ośm części i to nadawało im jakiś ponury biurokratyczny charakter, jaki mają okna w przytułku dla sierot albo w kancelaryi więziennej. W trzech, najbliższych balkonu, szyby były całe, lecz brudne, noszące na sobie mętne piętna dłoni i palców ludzkich. Naturalnie, nikomu z licznej i leniwej służby nie przyszło na myśl, że należy je wyczyścić i zniszczyć wszelkie ślady minionych wypadków. Było tak zawsze. Powiedziałeś — zrobili; nie powiedziałeś — nawet palcem nie kiwnęli.

— Natychmiast wyczyścić! Obrzydliwość!

— Słucham, jaśnie wielmożny panie.

Chciał wyjść na balkon, lecz pomyślał, że nie należało zwracać na siebie uwagi. Począł patrzeć

przez szyby na plac, na którym wtedy szalał tłum, padały strzały i czterdziestu siedmiu niespokojnych ludzi zamieniło się w spokojne trupy, leżące rzędem, noga przy nodze, ramię przy ramieniu, jak na jakimś przeglądzie galowym, widzianym z dołu.

Teraz spokojnie. Pod samem oknem stoi topola z wydartą, łykowatą korą, już ustrojona w liście jesienne, a za nią słońcem oświecony plac — cichy, senny. Nikt prawie po nim nie jeździ, a okrągłe kamyczki leżą na jego powierzchni równiuteńko, jak perełki; gdzie niedzie zaledwie widać z pod nich zielona trawka, gęstniejąca w zagłębieniach i rynsztoku. Plac ten wyludniony, milczący, przedstawia się nieco naiwnie. Lecz czyż dlatego, że patrzył przez mętne i brudne szyby, wszystko wydaje mu się teraz nudnem, bezmyślnem, konającym w uczuciu bezbrzeżnej i głupiej tęsknoty? Do nocy pozostawało jeszcze sporo czasu, a wszystko — i ta topola z kory odarta, i te równe, okrągłe kamyczki, po których nikt nie jeździ, zdawały się błagać o prędkie przybycie nocy, by mrokiem swym zgasła życie niepotrzebne.

— Nie przyjechał?

— Jeszcze nie, jaśnie wielmożny panie.

— Jak przyjedzie, prosz tutaj.

Salon wyklejany był widocznie za poprzedniego gubernatora, a może i przed nim jeszcze — tak

brudne i zakurzone były drogie, wytłaczane tapety. W zimie, wśród licznego zgromadzenia, przy świetle wieczornem nie zwracało się na to wszystko uwagi, lecz teraz raziło oczy swą błyszczącą nędzą. Oto jakiś oświetlony księżycem pejzaż włoski wisi krzywo, a nikt nań nie zwraca uwagi. Wydaje się, jakby tak wisiał zawsze i za poprzedniego gubernatora; może nawet dawniej. Meble także drogie, ale wysiedziane, przetarte, okryte powłoką kurzu, przypominają umeblowanie pierwszego lepszego numeru w hotelu, którego gospodarz, tknięty paraliżem, zmarł już dawno, a interesy prowadzą niechlujni i wiecznie kłócący się z sobą spadkobiercy. Nic nie miał własnego. Nawet album z fotografiami, także cudzy, rządowy, lub może przez kogoś zapomniany. Zamiast twarzy przyjaciół i znajomych wyzierają zeń widoki miasta: seminaryum i sąd okręgowy, czterech nieznajomych urzędników, dwóch siedzących a dwóch stojących, ponad nimi jakiś wyblakły archirej i... dziura na wylot aż do samej okładki.

— Jakie to obrzydliwe! — rzekł głośno gubernator i ze wstrętem rzucił album. Stojąc, przypatrywał się jeszcze fotografiom, poczem obróciwszy się na piętach i potrząsając epoletami, gniewnie przechadzać się zaczął pewnymi, miarowymi krokami. Tak chodzą — gubernatorzy. Tak chodzą — gubernatorzy.

Tak prawdopodobnie chodził po tym skarbo-

wym lokalu, poprzedni gubernator — i ten, który był przed nim, a może i inni nieznani. Przybywali Bóg wie skąd, chodzili pewnymi, miarowymi krokami, a nad nimi wisiał krzywo pejzaż włoski, oświetlony księżycem. Urządzali wieczory, dawali nawet bale, a później gdzieś znikali. Może także do kogoś strzelali — coś podobnego nawet stało się za trzeciego przed nim gubernatora.

Po wyludnionym placu przeszedł malarz, z wiadrem i pędzlem w ręku, cały umazany farbą — po nim nikt więcej. Z odartej topoli oderwał się żółty podziurawiony listek i, krążąc na wietrze spłynął ku dołowi... Nagle zawirowały w mózgu: powiewy białej chustki, wystrzały, krew... Pamięć wskrzesza przykre szczegóły. Oto przygotowuje chustkę do sygnału. Wcześniej już ją wyjął z kieszeni i, zmiąwszy w mały kłębek, trzymał w pogotowiu. Następnie szybko rozkręcił i machnął z góry na dół, jakby coś rzucał na ziemię. W rzeczy samej rzucał kule. Przekroczył... przekroczył jakiś olbrzymi, niewidzialny próg... a drzwi żelazne, z głośnem skrzypnięciem, zatrzaskały się za nim... Cofnąć się już nie można.

— Ach, to pan, Lwie Andrejewiczu! Nareszcie doczekałem się pana.

— Wybacz, Piotrze Iljiczu, lecz w tej lichej mieścinie niczego dostać nie można.

— No, jedziemy już, jedziemy! Ale posłuchaj pan...

Gubernator zatrzymał się nieco i, rozdrażniony, począł mówić:

— Dlaczego w naszych urządach taki brud panuje? Weź pan na przykład naszą kancelaryę albo biuro żandarmeryi, w którym pracowałem niegdyś. Co to znaczy? czy to karczmy? czy stajnie? Ludzie w czystych mundurach, a wokoło nich na łokieć brudu.

— Pienędzy niema.

— Głupstwo! Wymówki!

Gubernator zakreślił ręką szerokie koło:

— Gdzie spojrzysz, wszędzie to samo. Przecież to wstrętne!

— Piotrze Iljczu! Któż broni przerobić po swojemu? Ileż razy mówiłem o tem z Maryą Piotrówną, a pani gubernatorowa obrachowuje wszystko...

Już przy wyjściu rzekł gubernator:

— Nie warto.

Urzędnik ze współczuciem spojrział na jego plecy szerokie, potężną szyję podpierającą głowę i powiedział niby bez nacisku, a jednak troskliwie:

— Naturalnie. Spotkałem przed chwilą Sandacza, powiada, że wczoraj wypisano ze szpitala ostatniego najciężej rannego. Nie było podobno nadziei, żeby mógł wyzdrowieć. Zadziwiająca siła żywotności w tych ludziach!

»Sandaczem«, w gubernatorskiem kółku domowym, zwano zwykle policmajstra, z powodu jego

wybałuszonych, bezbarwnych oczu, wydłużonego wzrostu i wąskiego, rybiego grzbietu.

Gubernator nic nie odpowiedział.

Na ulicy ogarnęła go jesienna świeżość powietrza i ciepło słoneczne, jakby jedno i drugie działało oddzielnie, świeżość osobno i ciepło odrębnie. I niebo było miłe — błękitne, głębokie, niespodzianie i prześlicznie lazurowe. Przyjemnie musi być teraz na wsi!

Siedział już w powozie, odsuwając się nieco, by pozostawić dosyć miejsca dla urzędnika, gramolącego się z lewej strony, gdy koło powozu przeszedł jakiś pochylony ku ziemi człowiek. Zdejmując nisko kapelusz, zakrył łokciem twarz w taki sposób, że gubernator mógł dostrzedz tylko jego kędzierzawę, blond włosy, opaloną od słońca szyję, oraz zauważyć, że kroczy nadzwyczaj ostrożnie, cicho, jak bosy; że skrada się, garbi i kuli, a plecy jego — że się tak wyrazimy — zdawały się patrzeć w tył, poza siebie.

— Jaki niemily i niezwykły człowiek — pomyślał gubernator.

Toż samo pomyśleli dwaj panowie, pośpiesznie wsiadający przed powozem do dorożki. Przy zgodnem i wypływającym z przyzwyczajenia pochyleniu, zajrzeli w oczy przechodniowi, nic podejrzanego w nich nie dostrzegli i pognali przed gubernatorem. Łebskiego mieli stangreta; pudło ich powoziku kołysało się lekko na gumowych kołach,

oni zaś, jakby dla zdwojenia szybkości pędu, siedzieli w postawie nieco naprzód pochylonej. Wkrótce, nie chcąc kurzem zasypywać jadącego za nimi gubernatora, znikli mu z oczu.

— Co to za jedni? — zapytał urzędnika, z ukosa nań spoglądającego.

— Agenci.

— A to poco? — gwałtownie zachnął się gubernator.

— Nie wiem — wykrętnie odparł Lew Andrejewicz. — Prawdopodobnie z polecenia Sandacza.

Przy skręcie na ulicę Szlachecką wysunął się naprzód tenże sam ogolony pomocnik przystawa, który w wozowni strażackiej pokazywał gubernatorowi trupy. Błysnął on w słońcu lakierowanymi butami i wyciągnięty jak struna, salutował zwierzchnika chwacko. Gdy zaś przejeżdżali koło cyrkułu, z otwartej bramy wypadli dwaj strażnicy na koniach, wałających donośnie kopytami w pył uliczny. Twarze ich wyrażały bezgraniczną gotowość spełnienia rozkazu, wzrok zaś utkwili w kark gubernatora. Urzędnik udawał, że ich nie widzi; gubernator powiódł wokoło chmurnem okiem i zamyślił się, kładąc na kolana ręce, obciśnięte białymi rękawiczkami.

Droga do willi prowadziła przez ulicę Kanatną, położoną na krańcach miasta, gdzie w nawpółrozwalonych lepiankach i w dwupiętrowych, z cegły murowanych domach rządowych, gnieździli się

ze swemi rodzinami robotnicy fabryczni i wszelkiego rodzaju nędzarze. Gubernator chciał koniecznie ukłonić się komubądź uprzejmie, lecz ulica była pusta, jak nocą. Nawet bawiących się dzieci nie było widać na niej. Jakiś chłopczyzna zawisł na chwilę na parkanie, wpośród liści czerwonej jarzębiny, lecz szybko zsunął się na ziemię, za parkan, przyczaiwszy się prawdopodobnie następnie przy szerokiej jakiejś szczelinie. W lecie, na ulicy Kanatnej spotkać można było dość często kury i tłuste, podpasione prosięta, przywiązane do kołków obecnie jednakże nie było ich wcale. Widocznie trzytygodniowy głód wszystko pochłonał.

Bezpośrednio, nic nie przypominało pamiętnego starcia policyi z robotnikami, lecz w tej pustej ulicy, obojętnej na przejazd gubernatora, ześrodkowało się jakieś ciężkie zamyślenie, zmuszające do spuszczenia w ziemię oczu; a przeźrocyste powietrze zdawało się przesycone wonią kadzidła.

— Posłuchaj pan! — krzyknął gubernator, chwytając urzędnika za kolano. — Przecież ten człowiek...

— Jaki człowiek?

Gubernator nic nie odpowiedział. Ścisnął mocno kolano i z całym natężeniem patrzył w twarz urzędnika, jak gdyby w zamkniętym i zabitym deskami domu nagle rozwarły się na oścież wszystkie drzwi i okna. Poczem, ściągnawszy brwi, połączone na czole z grubą, mięsistą, starczą zmarszczką,

obejrzał się poza siebie i uważnie patrzył na drogę. Konie strażników waliły w kurz uliczny kopytami, a wyludniona ulica, z jednej strony zatopiona w mroku, z drugiej zaś jasno oświetlona słońcem, milczała pogrążona w głębokiej zadumie. Lepianki z dziurawymi dachami, z powyłamywanymi belkami, i wypartymi ku przodowi, niby podbródki starcze, oknami, zbiegłszy się w kupę, niby burzą spłoszone stado, tuliły się do siebie. Dalej pustka, szczątki płotu, studnia zabita deskami z wydeptaną wokół ziemią i lipy ogromne poza wysokiem, nawpół rozebranem ogrodzeniem; wreszcie duży okazały dom pański, dziwnym zbiegiem okoliczności zabłąkany w tej dziurze, oddawna niezamieszkały i zgrzybiały, z zamkniętymi okiennicami i zardzewiałą blachą żelazną na froncie. Na niej widniał napis: »Ten dom jest do sprzedania«. Dalej znów biedne domki i trzy rzędem stojące, nagie, ceglane budynki bez ornamentacji, z rzadkimi, zapadłymi oknami. Jeszcze nowe; widać na nich tylko co zaschnięte wapno i wgłębienia w murze, na których oparte były rusztowania, lecz już strasznie brudne i zniszczone. Podobne do więzienia, a życie w nich zamknięte, musi płynąć równie tęsknie, równie beznadziejnie, jak w więzieniu.

A oto już pole i ostatnia lepianka. Nie widać przy niej ani jednego drzewa ani kawałka płotu. Cała sennie pochylona ku przodowi, równie ścianą

frontową jak i dachem, jak gdyby ktoś potężną dłońią uderzył w nią z tyłu. Ani w oknach, ani naokoło nie dojrzysz żywej duszy.

— Niedobłą drogę mieć tu będziesz w jesieni, Piotrze Iljiczu. Błoto tu prawdopodobnie po kolana.

Gubernator patrzył w stronę przeciwną i milczał. Zdawało się, że twarz jego pragnie ukryć myśli, wyrażające się na niej przed chwilą, zupełnie tak, jak gdyby ktoś zamykał drzwi i okna w opustoszałym, tajemniczym domu.

III.

W domu gubernatora panowała wesołość. Śmiano się i śpiewano. Nazajutrz rano syn jego, oficer, odjeżdżał do Petersburga, więc znajomi zebrali się, aby go odprowadzić na pociąg. Na seledynowych trawnikach, pod arkadami liści przetkanych złotem i purpurą jesieni, rozsypywały się harmonijnymi, chociaż jaskrawymi plamami. tualety kobiet i mundury wojskowych. Zaledwie zgasła krwawa, prawie zimowa, zorza, a na niebie zarysowały się faliste łuki gwiazd spadających, puszczono fajerwerki, z łoskotem pękające rakiety, fontanny ogniowe i błyszczące koła. Dym duszący wpelzał pod stare, w surowej powadze drzemiące drzewa, a gdy zapalono czerwone ognie bengalskie, postacie ludzkie zamieniły się w jakieś podwójne, konwulsyjnie poruszające się cienie.

Policmajster Sandacz, podpiwszy sobie przy obiedzie, życzliwie spoglądał na wesoły zamęt, dowcipnie salutował damy i był szczęśliwy. A kiedy

wśród dymem przepelnionego mroku usłyszał głos gubernatora, stojącego z nim w jednym rzędzie, zachciało mu się nagle pocałować go w ramię, objąć go wpół delikatnie; słowem, zrobić coś takiego, co wyrażałoby jego bezgraniczne oddanie się zwierzchnikowi, oraz życzliwość dłoń i zadowolenie. Lecz zamiast tego przycisnął dłoń do lewej strony munduru, rzucił w trawę tylko co zapalonego papierosa i powiedział:

— Ach, jasnie wielmożny panie, jaki czarujący festyn!

— Posłuchaj mnie pan, Iljodorze Wasiljewiczu — przerwał mu gubernator stłumionym basem — poco pan posyłasz za mną jakichś agentów? Naco?

— Złoczyńcy knują złe zamiary na twoje święte życie, jasnie wielmożny panie — z uczuciem odparł Sandacz, przyciskając obie ręce do munduru. — A zresztą, to mój obowiązek...

Trzask pękających rakiet, śmiech i krzyki, wywołane obawą, zagłuszyły jego wyrazy, zwłaszcza, że posypał się na nich deszcz czerwonych, zielonych i niebieskich ogni, uwydatniających, wśród dymnego mroku, epolety i guziki gubernatora.

— Wiem o tem, Iljodorze Wasiljewiczu, to jest raczej domyślam się, lecz nie sędzę, żeby to było coś poważnego.

— Bardzo poważne, jasnie wielmożny panie. Całe miasto o tem tylko trąbi, dziwić się nawet

należy dlaczego tak trąbi. Zatrzymałem już trzech w cyrkule... ale nie ci, o których mi chodzi, wpadli w moje ręce.

Ponowny wybuch strzałów i wesołych okrzyków przerwał mu mowę, a gdy wrzawa ucichła, gubernatora już nie było.

Po wieczerzy nastąpił wesoły i hałaśliwy odjazd, którym kierował młody pomocnik prystawa. Wszystko: fajerwerki, którym przypatrywał się z za krzaków, powozy i ludzie, wydawali mu się nadzwyczaj pięknymi, a nawet własny świeży głos wprawiał go w podziw siłą swoją i dźwięcznością. Sandacz zaś był zupełnie pijany, prawił dowcipy i chichotał, nucąc pierwsze wyrazy Marsylianki:

Allons enfants de la patrie
Le jour de gloire est arrivé!...

Nareszcie porozjeżdżali się.

— Dlaczego ciągle chmurzysz czoło, kochany ojczy? — zapytał oficer, kładąc rękę na ramieniu Piotra Iljicza. W rodzinie gubernator był lubiany; gubernatorowa jednak bała go się nieco; od niejakiego zaś czasu, niewiadomo z jakiej przyczyny, uważano go za dziwaka i dla tego lekceważono go poniekąd.

— Urojenie! Nic mi nie jest... — odpowiedział niepewnie Piotr Iljicz. Pragnął z synem pomówić na seryo, lecz bał się tej rozmowy. Oddawna ró-

znili się w poglądach. Obecnie jednak, ta różnica właśnie mogła okazać się pożyteczną.

— Rzec na tem widzisz polega — ciągnął dalej z pewnem zakłopotaniem — że mnie martwi... no, to... co stało się z robotnikami...

Spojrzał synowi bystro w oczy. Ten zaś odpowiedział wzrokiem zdziwionym, usuwając rękę z jego ramienia.

— Ależ, ojcze, wszakże otrzymałeś pochwałę z Petersburga.

— Ach, tak... niezawodnie... miałem to szczęście... lecz... mój Olesiu — zajrzał z jakąś niezgrabną łaskawością starszego i poważnego człowieka w piękne oczy syna — przecież oni nie Turcy! oni swoi, Rosyanie, ci wszyscy... Iwany, imiennicy Piotry... a ja do nich, jak do Turków?... Ha? Jakże to?

— Oni buntownicy.

— Olesiu! mieli krzyże na piersiach, a ja... — podniósł palec w górę — w krzyże!...

— O ile wiem, nigdy, papo, nie przywiązywałeś szczególnego znaczenia do religii. Pocóż te krzyże? To dobre do jakiegoś rozkazu pułkowego... lecz...

— Niezawodnie, niezawodnie — potwierdził śpiesznie gubernator — masz słuszność, nie o krzyże tu chodzi. Mówię, że to... że to swoi. Oles, rozumiesz, swoi. Niechbym był Niemcem, jakimś Au-

gustem Karłowiczem Szlippe - Demmoltem, ale ja jestem przecie Piotrem i do tego Iljiczem...

— Oficer stawał się coraz chłodniejszym.

— Kręcisz coś, ojcze. Poco mówić o Niemcach? Wreszcie, jeśli chcesz, przecież Niemcy strzelali także do Niemców, Francuzi do Francuzów i t. d. Dlaczegożby Rosyanie nie mieli strzelać do Rosyan?!... Jako działacz państwowy pojmować powinienes, że w państwie dbać należy przedewszystkiem o porządek, a kto go łamie, staje się dla nas obojętnym. Gdybym ja go naruszył, musiałbyś strzelać do mnie, jak do Turka.

— To prawda, to prawda — potakiwał gubernator skinieniem głowy i zaczął chodzić po drodze. — Tak, to prawda.

Nagle zatrzymał się na miejscu.

— Ależ oni z głodu, Olesiu! Gdybyś ich był widział...

— Chłopi z Zienziejewa buntowali się również z głodu, a mimo to kazałeś ich osiec należycie.

— Co innego osiec, a co innego... Ten osioł ułożył ich, jak zwierzyne. A ja spojrzałem na ich nogi i pomyślałem: nigdy już te nogi chodzić nie będą. Nie chcesz mię zrozumieć, Aleksieju. Rola kata jest także niezbędną w państwie, lecz być nim...

— Co mówisz, ojcze!

— Wiem, czuję to: zabiją mię!... Śmierci się nie lękam, — gubernator odrzucił w tył siwą głowę i hardo spojrzał na syna — lecz wiem, że mnie

zabiją... Ja ciągle nie rozumiałem... i myślałem ciągle: o co chodzi? — Gubernator rozpostarł długie, tłuste palce i szybko zwinął je w kułak. — Ale teraz rozumiem: zabiją mnie! Nie śmieję się, jesteś jeszcze młody; dziś poczułem śmierć ot tu w mózgu. W mózgu!

— Ojczulku! proszę cię, każ przysłać sobie kozaków, zażądaj pieniędzy na ochronę. Tobie niczego nie odmówią. Proszę cię, jako syn... proszę w imieniu całej Rosyi, dla której życie twoje jest potrzebne!

— A któż, jeśli nie Rosya, mnie zabije? Przeciw komu sprowadzę kozaków? Przeciw Rosyi — w imieniu Rosyi? Czyż kozacy, agenci i policyanci mogą od śmierci ochronić człowieka, który ma śmierć, ot... tu... w mózgu? Wypiłeś nieco, Olesiu, przy wieczerzy, ale jesteś trzeźwy, więc zrozumiesz, że ja w sobie śmierć noszę. Odczułem ją jeszcze tam w szopie, lecz nie mogłem sobie zdać sprawy, co to jest. Głupstwo wszystko, co mówiłem o krzyżach i o Rosyanach, nie o to mi chodziło... Widzisz tę chustkę?

Wyjął szybko chustkę z kieszeni, rozpostarł na płask i jak eskamoter pokazywał Aleksiejowi Piotrowiczowi.

— Oto, patrz!

Machnął nią szybko tak, że fala wonnego powietrza obiała się o nieruchomo siedzącego oficera.

— Otóż to! Wyście nowi ludzie, akademicy

w nic nie wierzycie! ja zaś wierzę w stare prawo: krew za krew!... Zobaczysz!...

— Podaj się zatem do dymisyi. Wyjedź gdzie bądź!

Gubernator czekał widocznie na te słowa i nie zdziwił się im wcale.

— O nie! za nic w świecie! — odpowiedział z mocą. — Pojmujesz chyba, że to byłaby ucieczka. Głupstwo! za nic w świecie!

— Wybacz, papo, że powiem, iż z tego wszystkiego, co mówisz, wynika jakaś dziwna bezmyślność.

Oficer pochylił na ramię swoją piękną głowę i rozpostarł ręce.

— Nic a nic nie rozumiem o co ci chodzi. Mama skarży się; ty bredzisz o jakiejś śmierci... Poco to? Czy ci nie wstyd, ojcze! Miałem cię zawsze za człowieka rozsądnego, o silnym, męskim charakterze, a ty kwilisz, jak dziecię lub kobieta z rozstrojonymi nerwami! Przebacz, lecz ja cię nie rozumiem wcale!...

Ten młody, piękny oficer, z różowymi, wygolonymi policzkami, poruszający się swobodnie i poważnie, który nie tylko siebie poważał, lecz wyznawał nawet dla się cześć głęboką, nie był ani nerwowy, ani podobny do kobiety. Gdy się znalazł przypadkiem wśród ludu, czuł się zupełnie samotnym jak gdyby innych ludzi wokoło niego nie było. Dopiero człowiek o wysokim stanowisku,

nie niższy rangą od generała, zwracał na siebie jego uwagę i wywoływał w jego zachowaniu się to ograniczenie, jakie narzuca nam towarzyskie obcowanie z ludźmi. Lubił i umiał pływać. Kąpiąc się latem w Newie, w wspólnej omnibusowej łazience, spokojnie i bacznie studyował swoje ciało, ześrodkowując na niem całą uwagę, jakby tam, prócz niego, nikogo nie było. Pewnego razu do tejże samej łazienki wszedł Chińczyk. Wszyscy z ciekawością zaczęli go obserwować: jedni z ukosa, drudzy wprost, nie krępując się wcale. On tylko jeden nie spojrzał na cudzoziemca, gdyż uważał siebie za bardziej interesującego i bardziej godnego widzenia od Chińczyka. Wszystko na świecie dla niego było jasnym i prostym, wszystko umiał podzielić bez reszty i wiedział, że z kozakami w każdym razie lepiej, niż bez kozaków.

W wyrzutach jego dźwięczał gniew najszczerzy, zmniejszony nieco uczuciem przyzwoitości i obawą obrażenia dumy ojcowskiej. To co działo się z jego ojcem, chociaż nie było dla niego niespodzianką — miał go bowiem zawsze za fantastę — oburzało go, jako coś pospolitego, barbarzyńskiego, atawistycznego. Krzyże, krew za krew, Piotry i Iwany — jakie nedorzeczności!

— Jednakże, chociaż cię pochwalili, lichym jesteś gubernatorem — myślał, spoglądając na chodzącego po ścieżce starca.

— Czy obraziłeś się na mnie, papo?

— Nie — z prostotą odparł gubernator. — Jestem ci wdzięczny za twoje uczucia, dobrze uczynisz, uspakajając także matkę. Co do mnie, jestem zupełnie spokojny, wypowiedziałem ci tylko moje pojęcia. Ty sądzisz tak, ja inaczej. Zobaczymy później, kto z nas dwóch ma słuszność. A teraz idź spać, bo już dla ciebie czas, żebyś się położył.

— Nie chce mi się jeszcze. Czy nie przeszlibyśmy się trochę po parku?

— Dobrze.

Pochłonał ich zrazu mrok. Znikli jeden dla drugiego, tylko głosy i rzadkie ocieranie się o siebie zakłócały uczucie dziwnej, wszystko obejmującej pustki. Gwiazd jednak było wiele i świeciły jasno. Wkrótce Aleksiej Piotrowicz tam, gdzie drzewa rosły rzadziej, dostrzegł przy sobie wysoką, powoli poruszającą się sylwetę postaci ojcowskiej. Pod wpływem mroku, powietrza i gwiazd uczuł pewną tkliwą życzliwość dla tego, zaledwie dostrzedz dającego się starca, znowu zaczął powtarzać wypowiedziane już przedtem uspakajające objaśnienia.

— Tak, tak — odpowiadał Piotr Iljicz urywanym głosem, lecz z tonu, jakim potakiwał, trudno było wywnioskować, czy zgadza się na wywody syna, czy nie.

— Jak tu ciemno — zauważył, zatrzymując się, Aleksiej Piotrowicz.

Weszli w głąb cienistej alei, gdzie niełatwo było przedmiot od przedmiotu odróżnić.

— Kazałbyś, papo, postawić tu latarnię.

— Latarnia tu niepotrzebna! ...Raczej powiedz mi...

Stali nieruchomi. Ścichł odgłos ich kroków. Wszechwładnie i niepodzielnie zapanowała głucha cisza.

— Co? — niecierpliwie zapytał Aleksiej Piotrowicz.

— Czy mrok ten do ciebie nie przemawia?

„Znowu fantazyje!“ — pomyślał oficer i nauczycielskim tonem zauważył:

— Mówi on, że sam nie powinienes tu chodzić! Za pierwszym lepszym drzewem może kto niebądź siedzieć i szpiegować.

— Szpiegować? To samo mówi on i do mnie. Wyobraź sobie, że tu za każdym drzewem siedzą ludzie, ukryci ludzie, i śledzą... Jest ich wielu... czterdziestu siedmiu... tylu, ilu było zabitych... śledzą, słuchają tego, co mówię... i czyhają na mnie.

Słowa ojca wywarły na oficerze nieprzyjemne wrażenie. Obejrzał się wokoło, ale w mroku nic nie dostrzegł. Cofnął się krokiem w tył, jakby chciał wracać.

— Dziwna chęć tak się rozstrajać ciągle! — zauważył z niezadowolaniem.

— Nie, poczekaj!

Oficer wzdrygnął się pod lekkim dotknięciem palców starca.

— Wyobraź sobie, że mnie podpatrują i tam... w mieście... i wszędzie, dokądbym się nie udał. Idę ulicą, a za mną idzie ktoś nieznany i śledzi mię... Siadam do karety, a obok przechodzi jakiś człowiek i kłania mi się. Śledzi mnie także.

Mrok stawał się złowieszczym, a głos — gdy mówiącego człowieka nie było widać — brzmiał dziwnie i obco.

— Dostyc już tego, papo. Chodźmy!

Oficer, nie czekając na ojca, ruszył szybko przodem.

— Otóż to, to, — zakonkludował Piotr Iljicz basem, z nieoczekiwaną w tej chwili żartobliwością tonu. — A ty mi nie wierzysz. Ja ci powiadam: ona tu, we łbie!

Gdy oficer dostrzegł światło, błyszczące w oknie, wydało mu się tak dalekiem i niedostępnem, że chciał biedz ku niemu. Po raz pierwszy, pomimo wrodzonej odwagi, uczuł lęk w duszy — i przez głowę przeleciało mu coś w rodzaju uznania dla ojca, który tak lekko i swobodnie poruszał się wśród mroku. Lecz zaledwie znalazł się w oświetlonym pokoju, równie strach, jak i uznanie znikły natychmiast; znowu oburzał się na ojca, niesłuchającego głosu rozsądku i pod wpływem starczego uporu sprzeciwiającego się powołaniu do miasta kozaków.

IV.

Zimą i latem wstawał gubernator o godzinie siódmej, zlewał się zimną wodą, wypijał mleko i następnie, bez względu na pogodę, odbywał dwugodzinną przechadzkę pieszą. Jeszcze za młodu przestał palić, prawie nie pił i pomimo pięćdziesięciu sześciu lat, był jeszcze młodzieńczo rzeźki i zdrów. Zęby jego, z lekka pożółkłe jak u starego konia, były mocne, równe; oczy, nieco podpuchnięte, lecz błyszczące; nos duży, mięsisty, z czerwoną bruzdą od okularów. *Pince-nez* nie nosił wcale, a gdy czytał lub pisał, kładł mocno powiększające, w złotej oprawie okulary.

Na letniem mieszkaniu szamotał się ciągle z ziemią. Kwiatów i całej sztucznej roślinności nie lubił, lecz zato urządził dobrze inspekta, a nawet cieplarnię, w której chodował brzoskwinie. Lecz od owego pamiętnego wydarzenia, raz tylko zajrzał do oranżeryi i pośpiesznie z niej wyszedł. Było coś miłego, coś blizkiego sercu w tem wil-

gotnem, sztucznie rozgrzanem powietrzu, i dlatego może, wrażenie wydawało mu się bolesnem. Większą część dnia, gdy nie wyjeżdżał do miasta, spędzał w alejach olbrzymiego, na piętnastu dziesięcinach rozciągającego się parku, mierząc go równymi, ciężkimi krokami.

Rozmyślać nie umiał. Wiele myśli cisnęło mu się do mózgu, niekiedy nawet bardzo żywotnych i interesujących, nie splatały się jednak w jedną nić długą i mocną; brodziły w głowie, jak krowy bez pasterza. Zdarzało się, że nieraz całemi godzinami chodził poważnie i głęboko zamyślony, nic dokoła siebie nie widząc, ani słysząc, — później jednak nie mógł zdać sobie sprawy, o czym myślał przed chwilą. Budziły się w jego umyśle głuche wspomnienia o jakiejś bolesnej, poważnej, niekiedy żalösnej, niekiedy zaś wesołej robocie duszy, lecz co ją stanowiło, nie mógł odgadnąć. Tylko zmieniający się chwilami nastrój — raz ponury, wszystkiemu obcy, to znowu wesoły, przyjemny, tkliwy, szukający pieszczot, — pozwalał mu czasem domyślić się, jaki jest charakter utajonej, zagadkowej pracy, odbywającej się gdzieś w niedostępnych głębinach mózgu. Po owem zajściu, bez względu na to, co myślał, pozostawał zawsze w usposobieniu smutnem i beznadziejnem. Kiedy się ocknął z głębokiej zadumy, zdawało mu się, że przeżył noc nieskończenie długą i ciemną. Niedgdyś, gdy był jeszcze młodzieńcem, tonął w by-

strej i głębokiej rzece. Długo potem nosił w duszy bezkształtny obraz przygniatającego i dławiącego mroku, niemocy, oraz wchłaniającej w siebie głębin. Teraz doznawał czegoś podobnego.

W ciągu pewnego cichego, słonecznego poranku, w dwa dni po odjeździe syna, chodził również po alejach i myślał. Wymieciono już żółte liście, które w nocy zasały aleję, a na śladach, które po sobie pozostawiła miotła, wyciskały się wyraźnie piętna dużych nóg, w butach z wysokimi obcasami i szerokimi kwadratowymi podeszwami. Wgłębienia te zdawały się świadczyć, że człowiek, który je wycisnął, prócz własnego ciężaru, dźwigał jeszcze brzemień ciężkich myśli i wtłaczał je w ziemię.

Chwilami zatrzymywał się, a wtedy, gdzieś nad głową, w gmatwaninie słońcem zalanych gałęzi, rozlegało się pracowite stukanie, uderzającego dziobem w korę dzięcioła. To znowu, gdy się znowu zatrzymał, przeleciała przez aleję wieiórka i potoczyła się, niby czerwony kłębuszek na kółeczkach, od jednego drzewa ku drugiemu.

— Zabiją mnie prawdopodobnie z rewolweru, a teraz dobre rewolwery — myślał. — Bomb w naszym miasteczku robić nie umieją; zresztą bomby, przeznaczone są dla ukrywających się działaczy państwowych. Oto Olesia, jeśli zostanie gubernatorem, bombą zabiją.

Piotr Iljicz zamyślił się znowu. Jego wąs lewy podniósł się nieco, nad żartobliwym uśmiechem,

choć oczy nie przestały być chmurne i poważne.

— Kryć się nie myślę, o nie!... Dość tego, com zrobił...

Zatrzymał się i strzepnął pajęczynę z munduru.

— Żał mi tylko, że nikt nie dowie się o moich uczciwych i pełnych odwagi myślach. O wszystkim ludzie wiedzą, lecz o tem, co myślę, nie dowiedzą się wcale. Zabijają, jak łotra. Żał mi ogromnie, lecz nic na to nie poradzę. Mówić nawet nie będę, nie warto. Poco w sędziach wzbudzać litość? Nieszlachetnem byłoby rozczulać sędziego. On i tak ma ciężkie zadanie, a tu stają przed nim ludzie i wołają, szlochając: Jestem uczciwy, uczciwy!...

Po raz pierwszy przyszedł mu na myśl jakiś sędzia i zdziwił się, skąd go wzięł, a zwłaszcza, że wzięł go tak, jak gdyby to pytanie oddawna było rozstrzygnięte. Słowem, zdało mu się, że kiedyś spał, a we śnie zjawił się ktoś i wyjaśnił mu wszystko, co się tyczyło sędziego, a nawet go przekonał. Potem obudził się, zapomniał o śnie, zapomniał o wyjaśnieniach, lecz pamięta, że jest sędzia, sędzia zupełnie sprawiedliwy, obciążony olbrzymiami i groźnymi pełnomocnictwami. I teraz, po chwilowem zdziwieniu, powitał tego nieznanego sędziego z taką prostotą i tak spokojnie, jak wita się starego, dobrego znajomego.

— Oleś, tego nie rozumie. Według niego wszystko jest koniecznością państwową. Jakaż to jednak konieczność państwowa strzelać do głodnych? Obowiązkiem państwowym jest nakarmić głodnych, nie zaś do nich strzelać. Młody on jeszcze i głupi, więc się unosi.

I wnet, nie dokończywszy jeszcze tej zarozumiałej, zadowolonej z siebie myśli, pojął, że to przecie nie Oleś kazał strzelać, lecz on sam. Nagle zdało mu się, że powietrze się rozgrzało i zatakowało mu oddech, a przed oczami jego duszy stanęło jakieś bezmyślne, ogromne, potworne, srogie zło.

— Za późno!...

Nie wiedział czy to myśl, czy uczucie, czy wyraz niespodzianie obił się o jego uszy. Przebrzmiał głośno wokoło i uleciał szybko, jak odgłos piorunu nad głową. I nastąpiły długie minuty gmatwających się myśli, ich rozstrzelonej i pośpiesznej ucieczki, zderzeń się bolesnych, poczem jakieś martwe uspokojenie, jakby odechnięcie po gwałtownym biegu.

Z poza gęstwiny drzew błysły w słońcu szyby cieplarni, oraz trójkąt białej ściany, skropionej, niby krwią, zaczerwienionymi liśćmi dzikiego wina. Podając się sile przyzwyczajenia — udał się gubernator po ścieżce, wijącej się między opustoszałemi już skrzyniami inspektów i wszedł do oranżeryi. Zastał w niej tylko starca, robotnika Jegora.

— A ogrodnika niema?

— Niema jasnie wielmożny panie. Pojechał do miasta po szczepy. Dzisiaj piątek.

— Aha! No cóż? Dobrze idzie wszystko?

— Chwała Bogu.

Dopiero co podniesiono okna, więc promienie słoneczne zalewały oranżeryę, wyganiając z niej ciężką, duszną wilgoć. Odczuwało się, jak gorącym jest słońce — jak silnym, pieśczośliwym i dobrem. Gubernator siadł błyszczący ogniami guzików, rozpiął mundur i uważnie spojrział na Jegora.

— No, jakże tam, bracie Jegorze?

Starzec uśmiechnął się dobrotliwie, słuchając łaskawego, chociaż nieokreślonego zapytania. Stał swobodnie. Ręce miał powalane świeżą ziemią, więc jedną o drugą ocierał.

— Słyszałem, Jegorze, że chcą mię zabić... za robotników... wiesz... wtedy...

Jegor ciągle uśmiechał się dobrotliwie; przestał jednak obcierać ręce, schował je za plecy i milczał.

— Więc jakże, starcze, zabiją mię, czy nie?... Ty piśmienny?

Jegor potarł głowę, rozsypując po czole brudno-siwe, kręcone włosy. Spojrział na gubernatora i odpowiedział:

— Kto ich wie. Może i zabiją, Piotrze Iljiczu.

— A któż zabije?

— Lud; po naszemu, po wiejsku — gromada.

— A ogrodnik jak mówi?

— Nie wiem, Piotrze Iljczu. Nie słyszałem.

Obaj westchnęli.

— Zła sprawa, stary?... Siadłbyś sobie!

Lecz Jegor nie zwrócił uwagi na propozycję i milczał.

— A ja myślałem, że tak trzeba, to jest, że trzeba strzelać. Rzucali kamieniami, wymyślali, ledwie mnie samego nie trafili...

— Z rozpaczcy wszystko. Ot przedwczoraj na targu był jakiś pijany, rzemieślnik, czy co, kto go wie zresztą, płakał... płakał... a później jak nie chwyci kamień, jak nie rzuci... Z rozpaczcy, nie z czego innego...

— Zabiją, a później sami pożałują — powiedział gubernator zamyślony, wyobrażając sobie, że widzi twarz Aleksieja Piotrowicza.

— Pożałują, to prawda. A jeszcze jak pożałują, lzy gorzkie wylewać będą.

W sercu gubernatora zatliła nadzieja:

— A więc pocóż zabijać? Przecież rozumiesz stary, że to niedorzeczność.

Wzrok robotnika, jakby skamieniały, zwrócił się szybko w jakąś dal niezmierną, mgłą zakrytą. On sam przez chwilę wydawał się jakby wykuty z glazu. Miętkość fałdów wieśniaczej, czerwonej, bawełnianej koszuli, i wełnistość włosów, oraz ręce ziemią powalane, a jednak pełne życia, słowem wszystkie szczegóły jego po-

staci, złożyły się na obraz wrażenia, wywołanego przez niezmiernie utalentowanego artystę, który oblekł twarde kamień w puszyste i lekkie tkaniny.

— Kto ich wie — niepatrząc odpowiedział Jegor. — Tak widać chce lud. Lecz wy, jaśnie wielmożny panie nie martwcie się tem wcale. Czy to nie rozmaicie paplą ludzie... Pogwarzą, pogwarzą, a potem może sami zapomną.

Nadzieja zgasła. Jegor nie powiedział nic nowego i nic szczególnie mądrego, w słowach jego jednak dzwięczało dziwne przekonanie, jak w owych półsnach, które majaczyły się w umyśle gubernatora w ciągu jego długich, samotnych przechadzek.

Zdanie: »lud chce«, było szczególnie przekonującym i niezbitym, zwłaszcza, że dokładnie wyrażało to, co sam Piotr Iljicz odczuwał. Siła jego jednakże nie tkwiła może w wyrazach starca, lecz w jego wzroku, w skrętach brudno-siwych włosów, w szerokich, jak łopaty rękach, zawalanych ziemią i świeżą zielonością.

A słońce świeciło.

— No, bądź zdrow, Jegor! Masz dzieci?

— Bądźcie zdrowi, Piotrze Iljczu!

Gubernator zapiął się pod szyję, rozprostował ramiona i wy dobył z kieszeni srebrnego rubla.

— Weź stary, kupisz sobie co nie bądź.

Jegor podziękował, wyciągając dłoń, jak deskę, z której zdawało się, że moneta powinna się stoczyć na ziemię.

— Dziwni są ci ludzie — myślał gubernator, rozcinając ruchem swojej postaci światelka i cienie przetkanej słońcem alei, w której te światelka i cienie rozstrzeliwały się na drobne cząsteczki. — Bardzo dziwni ludzie... nie noszą obrączek na palcach, więc trudno poznać: żonaty on, czy kawaler. Zresztą... nie, mają obrączki srebrne, albo nawet ołowiane. Rzecz dziwna: pierścionki ołowiane. Człowiek żeni się, a nie może kupić sobie złotego pierścionka za trzy ruble. Jaka nędza! Nie przyjrzałem się... ci w szopie musieli mieć także prawdopodobnie obrączki ołowiane... Ołowiane z cieniutkim paskiem na środku, tak... teraz sobie przypominam.

Myśl jego spadała coraz niżej i niżej w głębinę, jak ów jastrząb krążący nad upatrzonym krzakiem i coraz węższe zataczający nad nim kręgi. Słońce zgasło — dzięcioł kuł znowu dziobem w korę; liść, oderwany od gałęzi, frunął w powietrzu i... wszystko znikło. On zaś jak gdyby zatonął w jednym ze swoich półsnów ciężkich i męczących.

Robotnik. Twarz jego młoda, piękna, lecz pod oczami, we wszystkich zagłębieniach i zmarszczkach czernieje nawiany w nie pył metaliczny, rozmiękczający mózg przedwcześnie. Usta rozwarte szeroko — krzyczy strasznie. Co krzyczy? Koszula rozdarła mu się na piersiach, a on drze ją dalej, lekko, bez szelestu, jak papier miękki — i obnaża łono. Pierś biała i połowa szyi biała, druga zaś

połowa ciemna aż do twarzy, jak gdyby kadłub miał taki sam, jak wszyscy, tylko jakąś inną głowę przylepiono mu do karku.

— Dlaczego drzesz koszulę? Na twoje ciało niemiło patrzeć.

Ale biała, obnażona pierś sunie na niego.

— Masz ją, weź! Lecz daj prawdę! Prawdę dawaj!

— Skądże ja ci wezmę prawdę? Jakiś ty dziwny!

Kobieta krzyczy:

— Wszystkie dzieci pomarły, dziatki wszystkie pomarły. Dziaatki — dziaatki — dziaatki wszystkie pomarły.

— Dlatego tak pusto u was na ulicy.

— Dzieci — dzieci — dzieci wszystkie pomarły. Dziaatki!

— Przecież to niepodobna, żeby dzieciak zmarł z głodu. Dzieciak to maleńki człowiek, nie umiejący nawet drzwi otworzyć. Wy nie kochacie swoich dzieci. Gdybym miał dziecko głodne, nakarmilbym je. Tak, ale wy nosicie obrączki ołowiane.

— Nas opasują obręcze żelazne. Ciało skute, dusza skuta. Dźwigamy obręcze żelazne!

Na służbowym ganku pokojówka czyści suknie Maryi Piotrówny w cieniu; okna kuchenne rozwarłe, a w nich miga postać białego ubranego kucharza. Kuchnia dysze wonią pomysł i brudu.

— Dokądże to ja zaszedłem? — ze zdziwieniem zastanawia się gubernator. — Przecież to kuchnia. O czym myślałem? Aha... Trzeba spojrzeć na zegarek, bo wkrótce podadzą śniadanie. Jeszcze czas. Dziesiąta. Im jednak to nie na rękę, żem tu przyszedł, trzeba odejść.

Długo jeszcze chodził po alejach i myślał.

Podobny był do człowieka, przechodzącego wbród szeroką i nieznaną rzekę: to zapadał po kolana, to na czas jakiś znikał pod wodą i po chwili wypływał na powierzchnię blady i tchu pozbawiony. Myślał o synu, Aleksieju Piotrowiczu, próbował myśleć o służbie, o sprawach urzędowych, lecz gdziekolwiekby zatrzymała się myśl jego, wnet bezwiednie zwracała się ku zajęciu z robotnikami, ryjąc w niem, jak w niewyczerpanej kopalni. Nawet dziwnem mu się zdawało, że mógł o czemś myśleć przed owem nieszczęściem, bo wszystko, co przed niem się działo, przedstawiało mu się pustem, marnem, zupełnie niezdolnem do pobudzenia myśli.

Chłopów zenzejewickich siekł on przed pięciu laty; zaraz w drugim roku swego gubernatorstwa. Wtedy również otrzymał pochwałę z ministryum. Od tego właściwie czasu rozpoczęła się szybka i świetna karyera Aleksieja Piotrowicza, na którego zwrócono uwagę, jako na syna bardzo energicznego i czynnego człowieka. Przypomina sobie, jak przez mgłę, że chłopci zabrali zboże dziedzi-

cowi, a on przyjechał z żołnierzami i policją, by im je odebrać. Nie było w tem nic straszego, ani groźnego, raczej coś głupio-wesołego. Żołnierze ciągnęli worki z ciężarem, a chłopci kładli się na nich piersiami i dawali się wlec wraz z nimi, przy akompaniamencie śmiechu i dowcipów rozweselonych policyantów i żołnierzy. Poczem, krzyczeli, machali dziko rękami i jakby ślepi padali na płoty, na ściany chat, na żołnierzy. Pewien chłop, oderwany od worka, poruszając trzęsącemi się rękami, macał po trawie, szukając kamienia. Na wiorstę wokoło nie można było znaleźć ani jednego kamienia, a on jednak macał. Komisarz dał znak, a stójkowy kopnął go kolanem w podniesioną nieco tylną część ciała, tak, że padł na kolana i na czworakach popęzł niewiadomo dokąd. Wszyscy ci chłopci, tak wymieniony, jak i inni, wyglądali jakby wyciosani z drzewa; poruszali się niezdarnie i ciężko; zdawało się, że każda ich czynność połączona być musi ze skrzypieniem, jakie wywołuje nienasmarowanie osi u drewnianego wozu. Ażeby zwrócić którego z nich twarżą tam, gdzie należało, trzeba było użyć dwóch ludzi do obrotu. A nawet tak postawiony, nie wiedział jeszcze kędy ma patrzeć, gdy zaś domyślił się nareszcie, nie umiał od wskazanego mu przedmiotu oczu oderwać, tak, że znowu dwóch ludzi musiało go obracać.

— Zrzucaj-no, wujku, portki! Kąpać się będziesz.

— Co? — nie pojmował chłop, chociaż rzecz przedstawiała się jasno.

Ręka obca odpinała jedyny guzik u spodni, które spadały i chudy, chłopski tyłek wynurzał się na świat. Siekli lekko, jedynie dla postrachu. Nastrój był komiczny. Odchodzący po egzekucyi żołnierze, rozpoczynali hulacką piosenkę, a ci, co stali bliżej wozów z aresztowanymi chłopami, wtórowali im zgodnie. Działo się to jesienią, gdy chmury opuszczają się nisko nad czarnym ugo-rem. Wszyscy, wydający i wykonywujący doraźne wyroki, pojechali do miasta, do światła, a wieś pozostała na miejscu pod niskim niebem, w po-śród ciemnych, gliniastych, wypłukanych pól, na których sterczało rzadkie i krótkie rżysko.

— Działki wszystkie pomarły. Działki — działki — wszystkie pomarły. Działki!

Uderzono w dzwon na śniadanie. Szybkie, we-sole uderzenia rozległy się dźwięcznie po parku. Gubernator zawrócił się żwawo i spojrzął na zegarek. Brakło dziesięciu minut do dwunastej. Schował zegarek i stanął

— Hańba! — szepnął chrapliwie i gniewnie, wykrzywiając usta. — Wstyd! Kto wie, czy nie jestem łotrem.

Po śniadaniu przeglądał w gabinecie otrzymaną z miasta korespondencyę. Chmurny i roztargniony,

błyszcząc okularami, otwierał koperty. Niektóre odkładał na stronę; inne, czytając, obcinał nożyczkami. Jeden z listów, w wąskiej, z taniego papieru, kopercie, cały zalepiony kopiejkowemi, złotemi markami, wziął w rękę i obciął z boku. Następnie wysunąwszy go z koperty, rozwinął cienki, nawskróś atramentem przemoczony papier i przeczytał.

»Morderca dzieci«.

Twarz jego nagle pobladła. Stała się białą tak prawie, jak włosy, a rozszerzone źrenice wpatrywały się przez szkła wypukłe i grube w groźne wyrazy:

»Morderca dzieci«.

Litery ogromne, krzywe, ostre i przeraźliwie czarne, kołysały się na ordynarnym papierze, jak na parcianym łachmanie:

»Morderca dzieci«.

V.

Już następnego ranka po pogromie robotników, całe miasto, budząc się ze snu, wiedziało, że gubernator będzie zabity. Nikt jeszcze o tem nie mówił, a jednak wszyscy o tem wiedzieli, jak gdyby — w ową noc, gdy żywi spali niespokojnie, a martwi w zadziwiającym porządku, noga przy nodze, spoczywali snem głębokim — ktoś ciemny przeleciał nad miastem i rozpostarł nad niem czarne skrzydła.

Jedni wcześniej, drudzy później zaczęli mówić o zabiciu gubernatora, jak o rzeczy przez kogoś dawno i nieodwołalnie rozstrzygniętej. Bardzo wielu mówiło o tem obojętnie, jak o sprawie, która ich nie dotyczy, jak o zaćmieniu słońca, które nastąpi na drugiej półkuli i interesującym być może tylko dla mieszkańców tamtej strony globu. Inni, mniejszość, spierali się wzburzeni: czy gubernator zasługuje na tak srogą karę, oraz czy słusznem jest zabijać poszczególne osoby, choćby

nawet bardzo szkodliwe, jeżeli dotychczasowy ustrój społeczny pozostanie niezmieniony? Mniemania w tym względzie różniły się bardzo, jednakże w dyskusjach najnieubłagańszych nie czuć było ani zacierzwienia, ani nadzwyczajnego przejęcia sprawą, jak gdyby rozprawiano nie o czemś, co ma nastąpić, lecz o fakcie już dokonanym, którego żadne poglądy zmienić nie są w stanie. Z tego powodu spór, prowadzony przez ludzi inteligentnych, wkraczał na szerokie tory teoryi, a o samym gubernatorze zapominano zupełnie, jakby już nie żył.

Dyskusye te wykazały, że gubernator ma daleko więcej przyjaciół, aniżeli wrogów, a ci nawet, którzy w teoryi uznawali zabójstwo polityczne za słuszne, znajdowali dlań okoliczności łagodzące. Gdyby w mieście przeprowadzono głosowanie, to prawdopodobnie ogromna większość, kierując się różnemi teoretycznemi i praktycznemi pojęciami, wypowiedziałaby się przeciw zabójstwu albo straceniu, tak bowiem niektórzy czyn ten nazywali. Tylko kobiety, zazwyczaj litościwe i bojące się krwi, w tym wypadku okazywały dziwne okrucieństwo i upór, wszystkie bowiem były za śmiercią, za najstraszniejszą śmiercią. Nie można je było przekonać; twardo, a raczej tępo stały przy swoim. Bywało nawet tak, że jedna z nich uznawała nareszcie zbyteczność zabójstwa, lecz naza-

jutrz, w śnie nocnym utopiwszy wczorajsze przekonanie, twierdziła znowu, że zabić trzeba.

Wogólności panował w mieście straszny chaos myślowy i wielka różnorodność opinii. Gdyby ktoś obcy wysłuchał tego, co mówiono, nie zrozumiałby niezawodnie: czy gubernatora zabić należy, czy nie. Zdziwiony, zapytałby prawdopodobnie:

— Z czegoż wnioskujecie, że zostanie zabity i kto go zabije?

Nie ulega wątpliwości, że nie otrzymałby odpowiedzi, lecz po niejakiś czasie, czerpiąc świadomość z niewiadomego źródła, nabrałby przekonania, podzielanego przez wszystkich, że gubernator zostanie zabity, że śmierć jego jest nieuniknioną. Wszyscy bowiem przyjaciele i wrogowie — uniewinniający i oskarżyciele — wierzyli mocno, że zgon mu jest sądzony. Pojęcia i słowa były różne, uczucie jednak jednakie — olbrzymie, potężne, przenikające wszystkich, a w sile swojej i obojętności na wyrazy, podobne do śmierci samej. Zrodzone w mroku, samo przez się jak mrok niezbadane, panowało wszechwładnie i groźnie. Napróżno próbowali ludzie oświecić je jasną pochodnią rozumu. Zdawałoby się mogło, że prastare, posiwiałe, dawno już do snu złożone, w oczach ślepców niemal martwe prawo, śmiercią śmierć karzące, rozwarło chłodne powieki, ujrzawszy trupy pomordowanych mężczyzn, kobiet i dzieci, leżące na placu, i wyciągnęło swą potężną, bezlitosną pra-

więc nad głową zabijającego. Więc ci nawet, którzy, kłamiąc bezmyślnie sobie samym, nie uznawali jego wyroku, poddali mu się jednakże i opuścili człowieka, skazanego na wszystkie śmierci, jakie tylko są na świecie. Zewsząd zatem, ze wszystkich kątów ciemnych, z pól, lasów i wąwozów rzuciły się one nań, jak widma, a jednak pokorne jakieś — nawet nie okrutne.

W taki sposób prawdopodobnie w przedhistorycznych, odległych czasach, gdy żyli prorocy, gdy mniej było myśli i słów, a młodem było jeszcze owo prawo groźne, za śmierć karzące śmiercią, gdy zwierz dziki przyjaźnił się z człowiekiem, a grom wyciągał doń życzliwie ramiona, przestępca stawał się podległy wszelkim śmierciom. Żądłem kłóła go pszczoła, bódt byk ostrorogi, kamień nawet czekał na chwilę, w której miał oderwać się od skały, ażeby, spadając, rozmiażdżyć nieosłoniętą głowę; choroba szarpała go w obecności ludzi, jak szakal szarpie padlinę; wszystkie strzały, łamiąc swój lot, szukały czarnego serca i spuszczonej ku ziemi oczu; rzeki zmieniały koryto, podmywając piasek pod jego stopami, a ocean-władcyka ciskał nań zwichrzone fale i rykiem swoim gnał go na pustynię. Tysiące śmierci, tysiące mogił! W piasku miękkim grzebała go puszca i w poświęście wiatru śmiała się i płakała nad nim; gromady gór ciężkich kładły mu się na pierś i w milczeniu wiekowem grzebały tajemnicę

wielkiej zemsty. Samo słońce, dające życie wszystkiemu, z obojętnem szyderstwem wypalało mu mózg i łaskawie ogrzewało muchy, rojące się w jamach nieszczęsnych jego oczu.

Wkrótce w mieście przycichły wszystkie spory, strute bezpłodnością. Trzeba było przyjąć zabójstwo, jako fakt dokonany, dowodząc wraz z kobietami, że »nie można bezkarnie zabijać dzieci«, albo też plątać się beznadziejnie w przeciwnostwach, wahać się, gubić myśl własną, mieniać się nią tak z innymi, jak niekiedy pijani mieniają się na czapki — i ani na krok nie poruszać się z miejsca. Rozmowa w tym względzie stała się nudną, więc mówić przestano. Na powierzchni nic nie pozostało, coby przypominało zajście; a w tem milczeniu i spokoju, podobnem do groźnej chmury, wzrastało wielkie i straszne oczekiwanie. Również ci, którzy względem zajścia zachowywali się obojętnie, więc dla wniosków zeń wypływających byli obojętnymi — jak ci, którzy pałali radością na myśl o ukaraniu zabójcy, jak ci także, których to oburzało — wszyscy zdawali się przejęci jednym wielkiem, natężeniem i groźnem oczekiwaniem.

Gdyby gubernator zmarł w tym czasie na febrę, na tyfus, albo od przypadkowego wystrzału z myśliwskiej broni, niktby nie uważał tego za rzecz zwyczajną — i poza przyczyną widoczną, szukanoby niewidocznej, nawet nieprawdopodobnej,

lecz... rzeczywiście. W miarę wzmagania się oczekiwania, coraz więcej myślano o ulicy Kanatnej.

A tymczasem na Kanatnej było spokojnie i cicho, jak w całym mieście. Liczni agenci napróżno doszukać się starali oznak nowego buntu lub jakiegoś zbrodniczego i strasznego zamiaru. I o ich uszy obija się wprawdzie krążąca po mieście pogłoska o mającym nastąpić zamachu, źródła jej jednak odkryć nie zdołali; mówili wprawdzie wszyscy, lecz tak niejasno, że niczego domyślić się nie było można. Ktoś podobno bardzo silny, nawet wszechpotężny, a uderzający bez zamachu, miał w tych dniach zamordować gubernatora — oto wszystko, co można było pojąć z rozhovorów miejskich.

Szpieg Grygorjew, udając pijanego, podsłuchiwał pewnej niedzieli w piwiarni jedną z takich tajemniczych rozmów. Dwóch pijących robotników, już prawie pijanych, siedziało przy butelce piwa i, nachylając się ku sobie przez stół, — przyczem nieostrożnymi ruchami potrącali butelkę — rozmawiali półgłosem:

— Zabiją bombą — mówił jeden, widać bardziej uświadomiony.

— Bombą? — ze zdziwieniem rzekł drugi.

— No tak... bombą. A czemu? — Zaciągnął się papierosem i puścił dym prosto w oczy współbiedniakowi, dodając sentencyjnie:

— Rozerwie go na kawałeczki!

— Mówili, że dziewiątego dnia dopiero.

— Nieprawda, — odparł nachmurzony robotnik, wyrażając tonem wyższy stopień zaprzeczenia — poco dziewiątego dnia? Dziewiąty dzień, to przesąd... Zabiją po prostu rankiem.

— Kiedy?

Robotnik zasłonił się od sali pięcioma rozczapierzonymi palcami, nachylił się chwiejnie ku towarzyszowi i głośnym szeptem powiedział:

— W przyszłą niedzielę, za tydzień...

Obaj, kołyszac się i wzajemnie patrząc sobie w oczy, tajemniczo umilkli. Później pierwszy podniósł równie tajemniczo palec do góry i pogroził.

— Rozumiesz?!

— Oni nie spudłują, nie bój się... nie tacy...

— Nie — zmarszczył brwi pierwszy — o pudle nie ma mowy. Sprawa czysta, cztery tuzy...

— Chlust kozera — potwierdził drugi.

— Rozumiesz?!

— No, tak rozumiem.

— Kiedy rozumiesz, to napijmy się jeszcze. Szanujesz ty mię, Wania?

Długo z największą tajemniczością szeptali coś do siebie, rzucali na siebie spojrzenia, mrużyli powieki i przyciągali się wzajemnie jeden do drugiego, upuszczając na ziemię próżne butelki... Tej samej nocy aresztowano obu, lecz nic podejrzanego u nich nie znaleziono, a przy pierwszym badaniu wyjaśniło się, że obaj nic a nic nie wiedzą, powtarzali zaś tylko zasłyszane pogłoski.

— Dlaczegożes jednak nawet dzień oznaczał, niedzielę? — pytał gniewnie podpułkownik żandarmeryi, prowadzący śledztwo.

— Nie wiem — odpowiedział wylękniony robotnik, któremu w ciągu trzech dni nawet fajki zakurzyć niepozwolono. — Pijany byłem.

— Należałoby was wszystkich roz... — krzyczał podpułkownik, lecz niczego się nie dowiedział.

Ale i z trzeźwymi nie było lepiej. W warsztatach i na ulicy, jawnie potępiali gubernatora, przeklinali go i cieszyli się, że wkrótce zginie. Nic jednak pewnego powiedzieć nie mogli, a wkrótce i mówić przestali, oczekując cierpliwie. Niekiedy przy robocie szeptał jeden do drugiego:

— Wczoraj znowu przejeżdżał, bez żołnierzy.

— Sam lezie w ręce.

Poczem pracowali dalej. Następnego zaś ranka na drugim końcu fabryki posłyszeć było można:

— Wczoraj znowu przejeżdżał.

— Niech się najeździ!

Jakby rachowali każdy zbyteczny dzień jego życia.

Dwa razy nawet, tak w fabryce, jak na krańcach ulicy Kanatnej, niespodzianie, prawie w tejże samej chwili, zapewniano, że gubernator tylko co został zabity. Kto pierwszy przyniósł wiadomość, dojsć nie było można, lecz zebrani w kupę na ulicy podawali sobie szczegóły o zamachu. Wymieniano ulicę, godzinę, liczbę zabójców i broń,

którą mord został dokonany. Nie brakło nawet naocznych świadków, którzy słyszeli huk wybuchu. Gdy po jakimś czasie pogłoska nie została stwierdzona, stali dalej bladzi, bezradni, nie wyrażając ani radości, ani zmartwienia. Poczem rozeszli się równie spokojnie i bez rozczarowania, jak gdyby nie warto było troszczyć się sprawą, odłożoną do kilku dni, a może do kilku godzin, albo nawet na parę minut.

Jak w mieście, tak i na Kanatnej, najbardziej nieubłaganymi i surowymi sędziami były kobiety. Nie sprzeczały się, nie rozprawiały, lecz czekały — i w to oczekiwanie kładły cały ogień niezachwianej wiary, całą tęsknotę nieszczęsnego życia, całe okrucieństwo zubożałej, głodnej, stłumionej myśli. I one w życiu swem miały własnego, szczególnego wroga — którego nie znali mężczyźni — piec kuchenny, wiecznie nienasycony, wiecznie żebrzący swą rozwartą paszczą, małe piecyk, stokroć straszniejszy, aniżeli wszystkie ogniem dyszące czeluście piekielne. Od rana do nocy, codziennie, w ciągu całego życia, władał on nimi bezwzględnie, zabijając duszę, wytrawiając w ich głowach myśli wszelkie, prócz tych, które im tylko były potrzebne i które im służyły. Mężczyźni tego nie znali. Gdy kobieta, zbudziwszy się ze snu, spojrzała na kuchnię, źle zamkniętą blachą żelazną, widok jej porażał jej wyobraźnię, doprowadzając ją niemal, jak widmo jakieś, do konwulsyjnej odrazy i lęku —

głupiego, zwierzęcego lęku. Okradziona z myśli kobieta nie umiałaby nawet wskazać swego wroga i grabieżcy, bo ogłuszana przezeń nieustannie, oddawała mu pokornie duszę, a czarna i śmiertelna trwoga otulała ją mgłą nieprzeniknioną. Dlatego wszystkie kobiety na Kanatnej wydawały się złemi, biły dzieci nieledwie na śmierć, kłóciły się z sobą i z mężami, a usta ich pełne były wyrzutów, żalów i złości.

W czasie strasznej trzytygodniowej głodówki, gdy w ciągu kilku dni z rzędu nie palono w piecu, kobiety odetchnęły — oddechem umierającego, który na parę minut przed śmiercią cierpieć przestaje. Myśl, wyrwawszy się na chwilę z zaklętego koła, całą żądzą i siłą przyłgnęła do złudzeń nowego życia, jak gdyby walka toczyła się nie o zbywające pięć rubli na miesiąc, których domagali się mężczyźni, lecz o zupełne i radosne wyzwolenie z wszelkich pęt wiekowego uciemnienia. Grzebiąc dzieci, umierające z wycieńczenia, oplakując je krwawymi łzami, czerniejąc od troski, zmęczenia i głodu, kobiety w ciągu owych dni ciężkich były łagodne i towarzyskie, jak nigdy; wierzyły, że nie na darmo stało się coś tak okropnego, że po wielkich cierpieniach musi przyjść wielka nagroda. Gdy więc dnia 17 sierpnia gubernator wyszedł do nich na plac, promieniejący w blaskach słonecznych, zdało się im, że widzą przed sobą siwego Boga-Ojca.

On zaś rzekł:

— Należy wrócić do pracy. Dopóki was nie ujrzę przy robocie, nie będę mógł mówić z wami.

Poczem dodał:

— Postaram się, żeby coś zrobiono dla was. Idźcie do pracy, a ja napiszę do Petersburga.

Później:

— Chlebodawcy wasi nie są wyzyskiwaczami, lecz uczciwymi ludźmi. Zakazuję wam zwać ich złodziejami. Jeżeli jutro nie zaczniecie pracować, każę zamknąć fabrykę, a was rozeszłą do miejsc urodzenia.

Później:

— Dzieci mrą z waszej winy. Rozpocznijcie pracę.

Później:

— Jeżeli zachowywać się będziecie tak, jak się zachowujecie i nie rozejdziecie się, każę was siłą rozpędzić. Idźcie do roboty.

Potem nastął chaos: krzyki, płacz dzieci, trzask wystrzałów, ścisk i — przerażająca ucieczka, gdy człowiek nie wie kędy ucieka, pada, znowu biegnie, gubi dzieci, traci dom z oczu. I wnet szybko, tak szybko, jak gdyby nie minęła nawet jedna chwila, stanąć musiały przy przeklętym piecu, nienasyconym, wiecznie rozwierającym swoją paszczę. Przed tym samym, od którego uciekały na zawsze i do którego wróciły na zawsze.

Kto wie czy nie w kobiecej głowie zrodziła się

myśl, że gubernator powinien być zabity. Wszystkie dawniej używane słowa, zapomocą których określa się uczucie zemsty, nienawiści, gniewu, wzdardy, nie wyrażały należycie tego, co odczuwały kobiety. To było uczucie nowe, poczucie spokojnego, nieodwołalnie wydanego wyroku; gdyby topór w ręku kata, ów chłodny, ostry, błyszczący i spokojny topór, mógł czuć, doznawałby prawdopodobnie tego samego uczucia. Kobiety czekały spokojnie, nie wahając się ani przez minutę, i tem oczekiwaniem napępiały powietrze, którem oddychali wszyscy i którem oddychał gubernator. Były jak zawsze naiwne. Dość było trzasnąć głośno drzwiami albo, tupiąc nogami, przelecieć szybko przez ulicę, aby wnet ujrzeć, jak wybiegają przed domy z rozpuszczonymi włosami, i usłyszeć, jak pytają niemal zadowolone:

— Zabity?

— Nie, to Sienka poleciał po wódkę.

I tak ciągle do nowego stuknięcia, do nowego tupotu nóg po cichej, zamarłej ulicy.

Gdy gubernator przejeżdżał, chciwie na niego spoglądały z poza firanek, a gdy przejechał, wracały do komina. Nie zdziwiło ich, gdy gubernator, zwykle otoczony strażnikami, zaczął jeździć sam, bez ochrony — jak topór, gdyby mógł czuć, nie zdziwiłby się, ujrzawszy szyję obnażoną. Tak, tak — musi być obnażoną. Z szarych nici rzeczywistości tkwały one cudną legendę; i one to

owe szare kobiety, wijące szarą przędzę szarego żywota, wskrzesiły dawne, prawdopodobnie posiwiałe prawo, karzące śmierć śmiercią.

Żal po zabitych — jakby powstrzymywany — wyrażał się głucho; był tylko cząstką wspólnej wielkiej zgryzoty, pochłonięty przez nią bez śladu, jak lzę słońa chłonie ocean słony. W piątek jednak, pod koniec trzeciego tygodnia po strzałach, Anastazy Sazonowa, której zabito siedmioletnią córeczkę, Tanię, zwaryowała niespodzianie. Przez trzy tygodnie pracowała, jak wszystkie, przy kominie; klóciła się z sąsiadkami, krzyczała na dwoje pozostałych dzieci i nagle, kiedy nikt się tego nie spodziewał, popadła w obłęd. Od rana drżały jej ręce; rozbiła szklanę; później, jakby mgłą zasłży jej oczy; zapomniała co ma robić; biegała z kąta w kąt, powtarzając bezmyślnie:

— Boże! Co ja robię!

Wreszcie umilkła zupełnie i, milcząc, z dzikiem poddaniem się jakiejś sile wyższej, przesuwała się z miejsca na miejsce, przenosząc jedną i tę samą rzecz tu i tam, stawiając ją i zabierając napowrót — bezsilna, nieprzytomna, a, pod wpływem owładającego nią szału, nie mogąca oderwać się od pieca.

Dzieci bawiły się w ogrodzie puszczaniem latawca. Nagle mały Pietrek wbiegł do izby po kawałek chleba; matka jego, milcząca i ponura, wypchała w wygasły komin rozmaite przedmioty:

buciki, podartą kołdrę watowaną i czapkę Piotrusia. W pierwszej chwili malec roześmiał się, lecz gdy spojrział na twarz Anastazyi, wrzasnął i, krzyżąc, wybiegł na ulicę.

— A-a-a-a-j! — biegł i krzyczał.

Zeszły się kobiety i poczęły wyć nad nią, jak psy, owładnięte tęsknotą i przerażeniem. A ona, poruszając się coraz spieszniej i odpychając wyciągnięte do niej ręce, kręciła się gwałtownie na trzy arszynowej przestrzeni, zdyszana, mrucząca coś pod nosem. Po niejakiś czasie, krótkimi, kańciastymi ruchami zdarła z siebie odzienie i obnażyła górną część tułowia, żółtą, chudą, z obwisłymi, chwiejącemi się piersiami. Poczem zawyła jakimś strasznym, nieludzkim głosem, powtarzając rozciągnięte bez końca jedne i te same wyrazy:

— Nie mo-gę! Go-łą-beczki, nie mo-g-ę-ę-ę!...

Wybiegła na ulicę, a za nią wszyscy. Wtedy cała Kanatna rozległa się przez chwilę jednym nieprzerwanem babskiem wyciem, tak, że nie można było zrozumieć, która z nich waryatka, a która nie. Wycie to ustało dopiero wtedy, gdy subjekci z fabrycznego sklepu pochwycili szaloną, zwiążali jej postronkami ręce i nogi i wylali na nią kilka wiader wody. Leżała na drodze, wpośród świeżej kałuży, wytworzonej przez rozlanie wody, gołą piersią przylegając do ziemi i wyciągając pięści skrępowanych i posiniałych rąk. Odwróciła twarz na bok i patrzyła dziko, nie mrugając oczyma.

Mokre włosy oblepiły jej głowę, czyniąc ją dziwnie małą. Kiedy niekiedy całym jej ciałem wstrząsały drgawki. Z fabryki przybiegł mąż wylekniony; nie miał nawet czasu obmyć zakopconej twarzy. Bluza na nim była także zakopcona, lśniąca od smaru, a oparzony palec lewej ręki owinął widocznie w pośpiechu brudnym, tłustym gałganem.

— Nastusia! — rzekł on surowo, chmurząc czoło i pochylając się nad nią. — Co tobie? Co ci się stało?

Milczała, wzdrygała się i spoglądała dziko, nie mrużąc oczu. Popatrzył na jej krwią nabiegłe ręce, nielitościwie skrępowane powrozem i rozwiązał je; dotknął palcami jej żółtego, gołego ramienia.

Wtem dorożką nadjechał stójkowy.

Gdy tłum się rozchodził, dwaj ludzie nie poszli, jak wszyscy inni, do fabryki i nie pozostali również na Kanatnej. Powoli ruszyli do miasta. Szli zamyśleni równym krokiem. Pożegnali się na końcu Kanatnej.

— Co za wypadek! — rzekł jeden. — Czy wstąpisz do mnie?

— Nie — krótko odparł drugi i odszedł.

Był to młody człowiek o szyi ogorzałej; z pod czapki wymykały mu się kędziory płowych włosów.

VI.

W domu gubernatora dowiedziano się o grożącej mu śmierci nie wcześniej i nie później niż gdzieindziej, przyjmując wiadomość ze zdumiewającą obojętnością, jak gdyby obecność żywego, zdrowego i silnego człowieka, nie pozwalała pojąć, czym jest śmierć — jego śmierć. Wydawała się ona wszystkim niby coś podobnego do chwilowego wyjazdu.

W połowie sierpnia, na żądanie policmajstra, który przekonał Maryę Piotrównę, że pobyt w willi staje się niebezpiecznym, wrócono do miasta i życie potoczyło się zwyczajnym, od lat wielu nie zmieniającym się trybem.

Urzędnik Kozłów, nienawidzący brudu i urzędowego charakteru, panującego w gubernatorskiem pomieszkaniu, niemal bez upoważnienia kazał wykleić salę i bawialny pokój nowemi tapetami, wybielić sufity i sprowadzić nowe, w stylu dekadentckim meble z zielonego dębu. Samowolnie przy-

właszczył sobie prawa domowego dyktatora, z czego wszyscy byli zadowoleni, tak służba, odczuwająca teraz pewne ożywienie, jak i sama Marya Piotrówna, nienawidząca gospodarstwa i związanych z niem obowiązków. Przy całym swym ogromie, dom gubernatorski był zupełnie niewygodny; klozety i łazienka znajdowały się prawie tuż obok salonu, a potrawy musiano przenosić z kuchni przez chłodny, oszklony kurytarz, koło okien stołowego pokoju. Często widzieć można było przez nie lokai, popychających się wzajemnie łokciami, a nawet słyszeć jak się z sobą kłóca.

Wszystko to chciał Kozłow przerobić, lecz musiano rzecz odłożyć do następnego lata.

— Będzie zadowolony — myślał o gubernatorze, nie wiadomo jednak dlaczego wyobrażał sobie nie Piotra Iljicza, lecz kogoś innego. Nie zauważył jednak tego, rozgorączkowany reformatorskim zapalem.

Jak dawniej, wokoło Piotra Iljicza, koncentrowało się życie domowe, a słowa: »jaśnie wielmożny pan rozkazał«, »jaśnie wielmożny pan życzy sobie«, »jaśnie wielmożny pan będzie się gniewać«, z ust nie schodziły; lecz, gdyby na jego miejscu postawiono kogokolwiekbądź, ubranego w mundur gubernatorski, i zmuszono go do wygłaszania kilku obowiązujących w danej chwili wyrazów, niktyby nie zauważył zmiany, taka czcza forma, pozbawiona wszelkiej treści, wiała od gubernatora. Gdy

w rzeczy samej gniewał się i krzyczał na kogoś, a ten ktoś lękał się go, to zdawało się, że to rzecz z góry ułożona, równie krzyki, jak przestrach, bo wistocie jedne i drugi nie miały racji bytu. Gdyby w owym czasie zabił kogokolwiek, to i śmierć nawet wydałaby się złudzeniem. Chociaż żył jeszcze dla siebie, dla wszystkich był umarłym; więc wszyscy lekceważyli go, jak trupa, od którego wieje chłód i nicość, jakkolwiek bądź nikt nie rozumiał dlaczego osoba jego wywołuje podobne wrażenie. Myśl, jedna i ta sama, dzień po dniu, zabijała człowieka. Czerpiąc siłę w powszechnem uogólnieniu, stawiała się potężniejszą od maszyn śmiercionośnych, od armat i prochu; pozbawiała go woli i osłabiała w nim nawet instynkt samozachowawczy; opróżniała wokoło niego przestrzeń, dla ułatwienia ciosu. Tak w lesie wyrąbują naprzód gęstwiny, otaczając drzewo, które ma być ścięte. Myśl go zabijała. Wszechwładna pani, wywoływała z ciemności tych, którzy cios zadać mieli; stwarzała ich, jak twórca. A całe jego otoczenie, nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, usuwało się od skazanego, pozbawiając go niewidzialnej, a jednak silnej obrony, jaką dla życia jednostki, stanowi życie wszystkich ludzi.

Po pierwszym anonimowym liście, w którym gubernatora nazwano »mordercą dzieci«, minęło kilka dni bez listów; później jednak, jakby w du-

chu jakiejś milczącej umowy, posypały się one niby z rozdartego worka pocztowego. Co rano wzrastał stos kopert na stole gubernatora. Listy te, pomieszane z wielu innymi, w różnych dzielnicach miasta wybierali różni ludzie z różnych skrzynek pocztowych; następnie gromadziły się one w jedną paczkę i jeden człowiek odnosił je temu, który był ich jedynym celem. I niegdyś otrzymywał gubernator listy anonimowe, rzadko kiedy z obelgami i nieokreślonymi groźbami, po większej części zaś z denuncyacyami i skargami, lecz nie czytywał ich wcale, obecnie jednak odczytywanie wszystkich stało się dlań nieuniknioną koniecznością, jak nieustanna myśl o wypadkach z dnia 17 sierpnia i o śmierci. A czytać je i myśleć musiał sam, gdy mu nikt nie przeszkadzał.

Rzadko w dzień, częściej zaś wieczorem, siadał na krześle przed stołem, na którym leżały rozrzucone papiery, stała szklanka z stygnącą herbatą, prostował ramiona, wkładał złote, mocno powiększające okulary, i bacznie przyjrzawszy się koperce, obcinał jej brzegi.

Nauczył się od jednego rzutu oka poznawać te listy, gdyż pomimo różnorodności charakterów pisma, papieru i marek, miały one w sobie coś wspólnego, jak owi zabici w wozowni. I nietylko on, lecz i szwajcar, odbierając osobistą korespondencję Piotra Iljicza, rozpoznawał je również, nie myśląc się nigdy. List każdy czytał uważnie od

początku do końca, a jeżeli jakiś wyraz był napisany niewyraźnie, przyglądał mu się dopóty, dopóki go nie odcyfrował. Nie zbyt interesujące pisma, albo też przepełnione samymi obelżywymi, nieprzyzwoitymi wyrazami, dał natychmiast i podobnie niszczył listy, w których nieznani mu żywciliwi, ostrzegali go o grożącym mu zabójstwie. Lecz inne numerował i odkładał w jakimś smutnym, odczuwanym przezeń celu.

Wogólności, pomimo zewnętrznych różnic językowych, oraz wewnętrznych, zależnych od stopnia wykształcenia piszącego, treść listów była nużąco jednorodna; przyjaciele ostrzegali, wrogowie grozili, a wszystko redukowało się do krótkich i pozbawionych dowodów: »tak« lub »nie«. Przywykł do wyrazów »morderca« z jednej strony, albo »mężny obrońca porządku«, z drugiej, powtarzały się bowiem one często i niemal bez zmiany. Przywykł także do tego, że zarówno wrogowie, jak i przyjaciele, wierzyli jednakowo w nieuniknioną śmierć jego. Czuł tylko chłód przejmujący i chciał czemś się rozgrzać, lecz nie miał czem, bo herbata była zimna — od jakiegoś czasu nie wiadomo dlaczego podawano mu zawsze zimną herbatę — zimnym był również wysoki piec kaflowy. Potarłszy beznadziejnie plecy o zimne kafle, zaledwie u dołu nieco rozgrzane, przechadzał się po chłodnym pokoju, rozcierając dłonie i mówił swoim wspaniałym, rozkazującym basem:

— Jaki też to zmarzłak zrobił się ze mnie!

I znowu siadał, biorąc listy w ręce, żeby doszukać się w nich czegoś najważniejszego i najbardziej interesującego.

»Jaśnie wielmożny panie! Jesteś generałem, lecz i generałowie umierają. Jedni własną, drudzy gwałtowną śmiercią. Mam zaszczyt pozostać pańskim uniżonym sługą.«

Uśmiechnąwszy się — jeszcze wówczas się uśmiechał — chciał podrzeć list, wykaligrafowany starannie, namyślił się jednak, zanotował na szerokim marginesie: Nr. 43, 22 października, 190...r.— i odłożył.

»Panie Gubernatorze, albo raczej baszo turecki! Jesteś złodziejem i najętym mordercą. Mógłbym dowieść wobec całego świata, żeś za zabicie robotników, zdarł z akcyonaryuszów okrągłą sumkę...«

Gubernator sponsował, zmiął list, zerwał z czerwienionego nosa okulary i warknął głośno, jakby w bęben uderzył:

— Bałwan! — Włożywszy ręce w kieszenie, z rozstawionymi łokciami, zaczął przechadzać się po pokoju gniewnymi, wybijającymi takt krokami. »Tak chodzą — gubernatorowie; tak chodzą — gubernatorowie!« Uspokoiwszy się nieco, rozprostował list, odczytał go do końca, drżącą ręką zanotował numer i troskliwie odłożył. »Niech przeczyta«, — pomyślał o synu.

Tegoż samego wieczora los przysłał mu inny list, podpisany przez »Robotnika«. Zresztą, prócz podpisu, nic nie zdradzało człowieka fizycznie pracującego, niewykształconego i godnego politowania, jakimi zwykł był gubernator wyobrażać sobie robotników.

»Mówią w fabryce i na mieście, że wkrótce będziesz zabity. Nie wiadomo mi dokładnie, kto to uczyni, nie sądzę jednak, aby dokonali tego przedstawiciele jakiegokolwiek bądź organizacyi, zrobi to raczej jakiś ochotnik - obywatel, oburzony pańskim zwierzęcem postępowaniem z robotnikami w dn. 17-tym sierpnia. Wyznaję szczerze, że ja i niektórzy moi towarzysze, przeciwni jesteśmy takiemu rozstrzygnięciu sprawy. Niekoniecznie dlatego, żeby nam było żal pana — wszakżeś nie miał litości nad kobietami i dziećmi, mniemam więc, że w całym mieście nikt żałować cię nie będzie — lecz wprost dlatego, że dzięki moim przekonaniom, jestem stanowczym przeciwnikiem zabójstwa, równie jak wojny, kary śmierci, morderstw politycznych i wogólności wszelkiego morderstwa. W walce o ideał, którym jest »swoboda, równość, braterstwo«, obywatele powinni posługiwać się nieprzeczącymi mu środkami. Zabijać zaś, to znaczy posiłkować się zwykłym środkiem ludzi starego świata, dewizą których: »niewola, przywileje, nienawiść«. Ze zła, nic dobrego wyjść nie może. W walce, prowadzonej orężem, zwycięzcą będzie

zawsze gorszy, t. j. okrutniejszy, mniej ceniący godność i życie ludzkie, nie przebierający w środkach, słowem jezuita; człowiek uczciwy, jeśli ze chce strzelać, niewątpliwie chybi, albo popełni jakieś głupstwo, którego sam padnie ofiarą, dusza bowiem jego sprzeciwiać się będzie temu, co przedsięwzięmie ręka. Dla tej właśnie przyczyny, jak miemam, tak mało było udanych morderstw politycznych w znanej nam historii, bo ci, których chcemy życia pozbawić, są nikczemnikami, obeznanymi ze wszystkimi arkanami podłości, gdy zaś ci, którzy ich zabijają, są uczciwymi ludźmi, więc sami padają ofiarą. Chciej mi wierzyć panie gubernatorze, że gdyby czyhający na życie do ciebie podobnych, byli podłymi, wynaleźliby niezawodnie takie podstępny i sposoby, które ludziom szlachetnym na myśl nie przychodzą, i oddawnaby już was wszystkich pouśmiercali. Ja i rewolucję, według moich przekonań, uznaję tylko za propagandę idei w tym duchu, w jakim prowadzili ją pierwsi męczennicy chrześcijańscy; dlatego, że gdy robotnicy niby odnoszą zwycięstwo, to nikczemnicy tylko udają zwyciężonych, i natychmiast wymyślają nowe jakieś oszustwo, aby zwycięzców wystrychnąć na dudków. Zwycięzać trzeba głową, nie zaś rękami, bo nikczemnicy mają głowy słabe; z teje właśnie przyczyny ukrywają książki przed biednymi ludźmi, utrzymując ich w ciemnocie, ponieważ boją się o siebie. Jak się panu zdaje, dlaczego

chlebodawcy nie chcą zgodzić się na ośmio-godzinny dzień roboczy? Czy sądzisz, że nie wiedzą, iż wytwórczość nie będzie wcale mniejszą od tej, jaką daje jedenaście godzin pracy. Lecz nie o to im chodzi, tylko o to, że przy ośmio-godzinnym dniu pracy robotnik stanie się rozumniejszym od nich i zabierze im narzędzia produkcji. Ich przecież dlatego tylko uważają za rozumnych, że wszystkich ogłupili, lecz wobec istotnie rozumnego człowieka, rozum ich i grosza nie wart. Proszę mi wybaczyć, że wdałem się w dysputę o tych sprawach, lecz to tylko dlatego, żeby mnie pan nie wziął za odstępce od wspólnej sprawy wszystkich ludzi uczciwych. Muszę nadto jeszcze nadmienić, że 17-go, ja i inni towarzysze, podzielający moje przekonania, nie wychodziliśmy wcale na plac, wiedzieliśmy bowiem, czem się to skończy i nie chcieliśmy udawać naiwnie wierzących w waszą sprawiedliwość. Obecnie i inni towarzysze zgodzili się na to i mówią: »Jeśli teraz pójdziemy, to już nie prosić, lecz roznosić«. Według mnie i to głupota! bo poco chodzić, jeśli wkrótce sami przyjdziecie do nas z pokłonem i uprzejmymi słowami, a wtedy my wam pokażemy co umiemy. Łaskawy panie! chciej mi wybaczyć, że miałem śmiałość zwrócić się do niego ze słowami robotnika-samouka, lecz dziwię się ciągle, że człowiek wykształcony i nie tak podły jak inni, mógł strzelać do nieszczęśliwych i ufność w nim pokładają-

cych robotników. Być może, że otoczysz się kozakami, gromadząc wokół siebie licznych szpiegów, albo też wyjedziesz gdzieniebądź i tym sposobem ocalisz życie, wówczas słowa moje nie pójdą na marne, zwrócą cię może bowiem na drogę rzeczywistej pracy dla dobra ludu. W naszej fabryce mówią, że zostałeś przekupiony przez fabrykantów, ja jednak temu nie wierzę. Przedewszystkiem fabrykanci nasi nie są głupi i pieniędzy napróżno wyrzucać nie będą, a nadto, wiem, że nie jesteś ani łapownikiem ani złodziejem, jak inni pańscy koledzy, potrzebujący pieniędzy na artystki i szampa z truflami. Powiem nawet, że wogólności jesteś człowiekiem uczciwym...»

Gubernator ostrożnie położył list na stole, zdjął w sposób tryumfujący okulary i, zwolna wycierając je końcem chustki do nosa, rzekł z godnością i dumą:

— Dziękuję ci, młodzieńcze!

Przeszedł się zwolna po pokoju i zwracając się do chłodnego pieca, dodał poważnie:

— Bierzcie życie, ono do was należy, lecz honor mój...

Nie dokończył i, podnosząc w górę głowę, śmieszny poniekąd w swojej pysze, powrócił do stołu.

»...Powiem nawet, że wogólności jesteś człowiekiem uczciwym» — wogólności człowiekiem uczciwym (powtórzył dwukrotnie) — »więc nawet kury

nie skrzywdzisz, jeśli skrzywdzić jej panu nie rozkażą. Lecz jak uczciwy człowiek może poddawać się takim rozkazom, tego pojąć nie mogę. Łaskawy panie! lud nie kura! Lud to rzecz święta. Gdybyś zrozumiał czem jest lud ze swemi cierpieniami, wyszedłbyś na ten sam plac, pokłoniłbyś mu się do stóp i prosił o przebaczenie. Chciej tylko pomyśleć, że z dziada pradziada, z pokolenia w pokolenie, wiem tenże sam ciężki żywot, jaki był udziałem niewolników, którzy, czyniąc zadość zachceniom cara-tyrana, budowali piramidy. Jak w pośród was są dziedziczni szlachcice, t. j. ciemiężcy, tak wpośród nas są dziedziczni robotnicy, dziedziczni niewolnicy. Zastanów się pan, że przez całe tysiące lat bito nas i gnębiono — i jakbym najdalej spojrział w przeszłość moich przodków, nic innego nie dostrzegłbym w niej — prócz łez, rozpacz i dzikości! I to wszystko spadało na dusze, jak jedyny zaoszczędzony kapitał, przechodziło z ojca na syna, z matki na córkę. Przeląkłbyś się niezawodnie, gdybyś zajrzał w duszę prawdziwego robotnika lub chłopca. Już przed urodzeniem skrzywdzeni i znieważani bywamy tysiąckrotnie, a gdy wchodzimy w życie, odrazu wpadamy w jakąś norę, w której pijemy zniewagę, karmimy się zniewagą i odziewamy zniewagą. Powiadają, że w trzecim roku swego urzędowania kazałeś chłostać jakichś chłopów. Czy pojmujesz pan co uczyniłeś? Zdaje ci się pewno, że obnażyłeś tylko ich skórę,

gdy pan obnażyłeś ich tysiącletnią chłopską duszę niewolniczą, siekąc różgami równie nieboszczyków, jak i ich następców, jeszcze niezrodzonych. I chociaż jesteś generałem i jaśnie wielmożnym, powiem panu, jak prostak, — prosto z mostu — żeś niegodzien dotknąć się ustami chłopskiego tyłka, a cóż dopiero rznąć go różgami! Gdy zaś do pana przyszli robotnicy, jak sądzisz, kto do ciebie przyszedł? Przyszli zmartwychwstali niewolnicy, którzy budowali piramidy, przyszli utrudzeni tysiącletnią pracą, błagając ze łzami o miłość, o radę i pomoc, jako do człowieka XX wieku, wykształconego i ludzkiego, a pan jak postąpiłeś sobie z nimi? Ech, panie! Zastanowiwszy się nad tem wszystkim, można przypuścić, że pradziad pański był może dozorcą tych niewolników i batem ich chłostał, przekazując ci w spuściznie nienawiść do klasy robotniczej. Łaskawy panie! lud budzi się ze snu. Dotąd jeszcze przewraca się senny, a już w waszym domu zręby trzeszczą! Cóż się stanie z wami, gdy się całkiem zbudzi? Dla pana słowa moje są nowością, zastanów się jednak nad niemi. A teraz proszę o przebaczenie, że go niepokoiłem, w imię zaś »braterstwa« życzę, żeby pana nie zabito.

»Zabijają!« — pomyślał gubernator, składając list. Przez chwilę myślał o robotniku Jegorze, z siwymi kędziorami włosów, potem utonął wyobraźnią w czemś bezkształtnem i olbrzymiem jak

noc. W myślach jego nie było ani zaprzeczenia, ani zgodzenia się na to, co wyczytał w liście. Stał przy wychłodłym piecu; — pod zielonym, uszytym z jedwabnej materyi abuzarem, płonąła lampa na stole — gdzieś daleko córka Zizi grała na fortepianie — czekał mops gubernatorowej, którego widocznie ktoś drażnił.. lampa płonąła. Lampa płonąła...

VII.

Kilka dni następnych minęło bez listów. Nagle, jakby na dany rozkaz, listy przestały przychodzić, a to milczenie wydawało się niezwyčajne — ciężkie. W nagłości, z jaką nastąpiło milczenie, nie odczuwało się końca; coś jeszcze przedłużało się w ciszy, jak gdyby myśl wstąpiła w nową fazę, i coś tworzyła tajemniczo. I szybko dnie przelatywały, jakby gnane rozmachem olbrzymich skrzydeł: wioną w górę — dzień; wioną ku dołowi — noc.

Dwa razy w niezwykłych godzinach przyjęła gubernatorowa policmajstra Sandacza. W przedpokoju, wysuwając ramiona do szwajcara, żeby z nich ściągnął palto, w szybkim półbrocie, energicznym szeptem złażał go, jak swego stójkowego lub stangreta. Rozebrawszy się zaś i naciągając świeżą rękawiczkę, pochylił wylizaną głowę ku puszystym faworytom szwajcara, wyszczerzając zgniłe, dymem tytoniowym okopcone zęby; w sam

nos pchał mu rękę z nawpółnaciągniętą rękawiczką i kołyszącymi się przy niej płaskimi palcami. Toż samo, chociaż w mniejszych rozmiarach, powtórzył z lokajem. Następnie, przybrawszy postawę człowieka z wyższego świata, począł po schodach wstępować na pierwsze piętro. Dawniej nie ośmieliłby się pod żadnym pozorem wymyślać służbie gubernatora, lecz teraz gromić było można, a nawet należało.

Wczoraj wieczorem przy samem wejściu do gubernatorskiego domu, aresztowano śledzonego przez agentów, bardzo podejrzanego człowieka. Towarzyszył on gubernatorowi w jego zwykłej, rannej przechadzce, następnie dzień cały wałęsał się koło domu, zaglądał do okien na parterze, ukrywał się za drzewami i wogólności zachowywał się dwuznacznie. Po zaaresztowaniu nic przy nim nie znaleziono, ani broni, ani podejrzanych przedmiotów i papierów; okazało się, że był to mieszczanin, Ipatikow, kuśnierz z profesyi; tłómacząc się jednak, dawał wyjaśnienia zagmatwane i kłamliwe; zapewniał, że raz tylko przeszedł koło domu; słowem, widocznem było, że coś ukrywa. Przy rewizyi w warsztacie, prócz zwykłych obrzynków futrzanych od paltota ucznia gimnazyalnego, podszytego futrem, tudzież przedmiotów, odnoszących się do jego rzemiosła i do domowego gospodarstwa, nic a nic nie znaleziono, ani broni, ani papierów; jednakże zachowanie się jego wydawało się ciemnem

i tajemniczem. Nikt ze służby gubernatora, ani szwajcar, ani inni, nie zwrócili uwagi na podejrzanę indywiduum, chociaż co najmniej dziesięć razy przesunęło się ono przed wejściem paradnem; a w nocy jeden z agentów, dla przekonania się czy zamknięte, poruszył drzwiami. Były w rzeczy samej niezamknięte; wszedł więc do izby szwajcara, nakreślił, jako dowód, ryse na ścianie i wyszedł niepostrzeżony. Szwajcar tłómaczył się, że przez roztargnienie drzwi nie zamknął, lecz w takich czasach, gdy wszyscy oczekują przestępstwa, podobne gapiostwo nie było do przebaczenia.

— Znajduję się w niemożliwym położeniu, jaśnie wielmożna pani! — uskarżał się Sandacz przed gubernatorową, przyciskając do piersi białą rękawiczkę. — Jaśnie wielmożny pan sprzeciwia się stanowczo wszelkiej ochronie, nawet mówić sobie o niej nie pozwala. Agenci, chciej mi przebaczyć wyrażenie, włócząc się za jaśnie wielmożnym panem, już na nogach utrzymać się nie mogą, a to wszystko nie daje żadnych rezultatów, bo pierwszy lepszy szubrawiec, może z za węgła, albo z poza parkanu rzucić kamieniem i skaleczyć jaśnie wielmożnego pana. W razie, nie daj Boże, wypadku, powiedzą: policmajster winien, policmajster nie pilnował, a cóż ja mogę uczynić wbrew świętej woli jaśnie wielmożnego pana. Racz jaśnie wielmożna pani postawić się na mojem miejscu i przyznać, przepraszam za wyrażenie, że chyba przyjdzie mi

podać się do dymisji. Tak, jaśnie wielmożna pani, chyba podam się do dymisji.

Okazało się, że Sandacz ma już plan gotowy. Niech gubernator weźmie dwu- albo trzymiesięczny urlop i wyjedzie do wód za granicę dla poratowania zdrowia. W mieście panuje wzorowy spokój, gubernator ma łaski w Petersburgu, więc bez żadnych przeszkód urlop otrzyma.

— Inaczej za nic nie ręczę, jaśnie wielmożna pani — z uczuciem zakończył policmajster. — Jest pewna granica wysiłków ludzkich, jaśnie wielmożna pani; więc z całą otwartością mówię: inaczej za nic nie ręczę. Gdy miną dwa, trzy miesiące, a o wszystkim zapomni się szczęśliwie, prosimy, wracajcie do nas, jaśnie wielmożni państwo. Wtedy właśnie przyjedzie tu opera włoska, będziemy słuchać, a tymczasem, niech jaśnie wielmożni państwo użyją sobie na zdrowie.

— No, jaka to będzie opera! — przerwała gubernatorowa, zgodziła się jednak na propozycję policmajstra, gdyż była mocno zaniepokojona.

Na dole policmajster znów zląkał szwajcara, lecz tym razem już głośno, nie krępując się wcale.

— Ja cię nauczę! Baki ci oberwę, tłusty pysku! Zapusił faworyty, jak jaki radca tajny, sukinsyn! Myśli sobie, że drzwi nie zamykać można! Będziesz ty tańczyć przedemną!... Ty!...

Tegoż wieczora Marya Piotrówna prosiła męża, aby wyjechał z nią i dziećmi za granicę.

— Proszę cię, *Pierre* — mówiła omdlewającym głosem, zakrywając oczy dużemi, cynamonowego koloru powiekami, a żółta upudrowana skóra zwiślała jej na szczękach, jak u ogara. — Wiesz, jak źle z mojami nerkami, Karlsbad dla mnie stanowczo niezbędny.

— Czyż nie możesz pojechać z dziećmi, bezemnie?

— Ach, nie, *Pierre!* Co mówisz? Będę w ciągłym niepokoju o ciebie. Proszę cię bardzo.

Nie powiedziała, co ją może niepokoić, łatwo to jednak można było odgadnąć. Zdziwiła się mocno, gdy Piotr Iljicz chętnie zgodził się na wyjazd, chociaż, nie bacząc na wyjątkowe okoliczności, dość było niegdyś, że ona go prosi, aby opierał się i sprzeciwiał. Tak bywało zawsze.

»Wszakże to nie będzie tchórzostwem — myślał gubernator. — Nie ja przecie proponowałem wyjazd... a ona może w rzeczy samej leczyć się potrzebuje. Żółta, jak cytryna!... Tamci zaś mają dość czasu do zabicia mnie; jeśli zaś nic nie uczynią, to wtedy ja mieć będę słuszość, nie oni. Wtedy... wtedy, podam się do dymisyi, wyjadę stąd raz na zawsze i zbuduję wzorową cieplarnię«.

Myśląc jednak w ten sposób, nie wierzył ani w zagranicę, ani w oranżeryę. Dla tego też może tylko zgodził się na wyjazd. Zgodziwszy się zaś, natychmiast prawie zapomniał o wszystkim, jak gdyby rzecz dotyczyła kogoś innego, obcego. Nie-

pojęcie opieszale zabierał się do napisania podania; oznaczał dzień, w którym ma je napisać, przypominał go sobie jednak dopiero w dwa dni po terminie wyznaczonym; naznaczał ponownie i ponownie uporczywie zapominał. Gubernatorowa, uspokojona postanowieniem męża, nie nalegała zbyt mocno. Zapóźniła się wyjątkowo z zamówieniem toalet jesiennych, więc potrzebowała czasu na ich wykończenie. Zizi nie była również gotową do drogi.

Wśród pustki milczącej, która otoczyła gubernatora z chwilą, gdy przerwała się korespondencya anonimowa, zaczął on odczuwać, że coś się nie skończyło, coś, co uważać można było niby za przymówkę do jakiegoś cichego głosu, dźwięczącego w dali. Tego rodzaju uczucie owłada nami w pustym pokoju, gdy mówią za ścianą, a wyrazów nie słyszą. Więc gdy otrzymał list — ostatni, spóźniony — porwał go, jakby nań czekał oddawna, dziwiąc się tylko, że zamknięty był w wąskiej, wykwintnie przyozdobionej kopercie, z wyobrażeniem niezapominajki na odwrotnej stronie. Nie przyszedł w dzień, jak inne wrzucone do skrzynki wieczorem lub w nocy. Przyniosła go wieczorowa poczta; wrzucono go zatem niedawno, zaledwie kilka godzin temu. Niewielki arkusik papieru wyglądał także wytwornie: nosił na sobie u góry błękitną niezabudkę. List nakreślony był pismem wyraźnym, starannem, lecz wiersze na brzegu za-

krzywiały się często w dół, jakby pisząca nie zupełnie wierzyła w umiejętność swoją prawidłowego przenoszenia wyrazów z wiersza do wiersza, więc uważała za stosowne dopisywać je małemi, coraz bardziej obniżającemi się literkami. Niekiedy, już w pewnej odległości od brzegu, przewidując, że wyrazu nie zmieści, zawczasu zaczynała wiersz wyginać w taki sposób, że stawał się podobny do górki śnieżnej, z której »gęsiego« zjeżdżają dzieci na sankach, z najmniejszymi na przodzie. Podpisała się: »Gimnazystka«.

»Śnił mi się wczoraj pański pogrzeb, więc postanowiłam do pana napisać, chociaż to niedobrze, obrażam bowiem tem nieszczęśliwych robotników i dziewczątka, które pan pomordował. Lecz jesteś także człowiekiem nieszczęśliwym i godnym politowania, dlatego więc list ten do niego piszę. Śniło mi się, że chowano pana nie w czarnej trumnie, jak starców i wogólności ludzi w podeszłym wieku, lecz w białej, podobnej do tych, w jakich składane bywają do grobu dziewczęta. Policjanci nieśli trumnę po ulicy Moskiewskiej, lecz nie na ramionach, a na głowach. Za trumną szli tylko stójkowi, krewnych zaś pańskich nie było; nie było także nikogo z publiczności. Nawet wszystkie furtki i okna w domach, obok których przechodził kondukt, zasłaniały zamknięte drzwi i okiennice, jak w nocy. Tak mnie to przeraziło, że przebudziłam się i zaczęłam myśleć o tem, o czem obecnie do

pana piszę. Przypuszczam, że prawdopodobnie nie masz nikogo, ktoby, gdy umrzesz, zapłakał po tobie. Ludzie cię otaczający, to zatwardziali egoiści, tylko o sobie myślą, więc gdy pana zabiją, będą nawet z tego radzi, bo, jak mi się zdaje, sami marzą o posadzie gubernatora. Żony pańskiej nie znam, lecz nie sędzę, żeby w sferze, przetrawionej próżnością i pogonią za uciechami, znaleźć można było dobre i uczuciowe kobiety. Nikt zaś z ludzi uczciwych za trumną pańską nie pójdzie, bo całe miasto potępia cię za twoją nieludzką działalność względem robotników, a słyszałam od jednego z moich znajomych, że, gdyby nie lękano się rządu, wykluczonoby cię nawet z klubu. Nabożeństwa żałobne nie mają żadnej wartości, nasz bowiem archirej, jak sam to wiesz najlepiej, gotów jest odprawić egzekwie nawet za psa, byleby mu zato dobrze zapłacono. Gdym pomyślała, że sam — i bez słów moich — wiesz o tem wszystkim, zrobiło mi się ogromnie żal pana, jak gdybym cię znała osobiście. Widziałam pana tylko dwukrotnie: raz, bardzo dawno, na ulicy Moskiewskiej, drugi raz na naszym akcie uroczystym, gdy przyjechałeś z archirejem; ale pan prawdopodobnie tego nie pamięta. Przysięgam, że będę modlić się za pana i opłakiwać cię, jakbym była twoją córką, bo mi bardzo, bardzo żal pana. P. S. Spal, proszę, ten list. Lituję się nad panem bardzo, bardzo.

Gubernator polubił gimnazyastkę. Późnym wie-

czorem, przed udaniem się na spoczynek, przeszedł przez ciemną salę i stanął na balkonie — na tym samym, z którego dał znak białą chustką.

Rozpoczęły się już słoty i dżdże jesienne, a noc tonęła w mgłę gęstej. W ciemności tej mgły, świat otulającej, odczuwało się, jak daleko słońce, jak dawno zaszło i jak nierychło powróci. Na lewo, przy bramie wjazdowej, paliły się dwie latarnie z reflektorami. Białe ich światło wbijało się w ciemność, nie zmniejszając jej wcale. Roztaczała się wokoło spokojnie, gęsto i ciężko. Miasto prawdopodobnie już spało, gdyż, prócz rzadkich latarni na ulicach, nie widać było ani jednego oświetconego okna, ani też słychać turkotu powozów. Pod jedną latarnią smutnie coś lśniło — prawdopodobnie kałuża. W gimnazyum od miesiąca odbywały się już wykłady, więc i ona niezawodnie przygotowywała się do lekcji jutrzejszych, i teraz śpi — tam... tam, w czarnej i milczącej przestrzeni. Z przestrzeni tej nadsyłają mu listy i pogróżki; z niej przyjdzie doń śmierć, lecz w niej śpi dziewczeczka, która oplakiwać go będzie.

Jak spokojnie, jak ciemno — jak cicho!...

VIII.

Na dwa tygodnie przed śmiercią gubernatora do domu jego przysłano paczkę, obszytą płótnem i ocenioną na trzy ruble. Gdy ją otworzono, okazało się, że zawierała w sobie machinę piekielną z aparatem, napełnionym prochem i urządzonej w taki sposób, aby mógł wybuchnąć przy odrywaniu wieka. Urządzenie to jednakże było marne, wykonane prawdopodobnie niedoświadczonymi rękami dyletanta, który zaledwie coś nie coś słyszał o podobnych machinach — więc wybuchu sprawić nie mogła. Naiwność aparatu wywoływała okrutne i przerażające wrażenie, zdawało się bowiem, że to ślepa śmierć wyciąga swe macki, pragnąc niemi pochwycić ofiarę wśród ciemności.

Policmajster uderzył na trwogę, a gubernatorowa domagała się koniecznie, żeby Piotr Iljicz tegoż samego dnia wysłał zawiadomienie do Petersburga o swojej chorobie, sama zaś pojechała do krawcowej, a nadto wysłała do syna list, napisany po francusku, pełen lęku.

Nikt nie zauważył, kiedy się to stało, — czy tegoż dnia, czy może nieco wcześniej lub później — dość, że w usposobieniu gubernatora zaszła dziwna i stanowcza zmiana, zupełnie przeobrażająca dawnego, znanego nam człowieka. Był on zawsze samym sobą — lecz na twarzy jego malowała się taka szczerość, że ta twarz wydawała się obecnie niemal zupełnie inna. W takich chwilach, w których dawniej bywała martwą, teraz się uśmiechała; chmurzyła się, gdy niegdyś się uśmiechała; wyrażała zainteresowanie i uwagę wówczas, gdy przedtem, w podobnym momencie, oblekała się w maskę znużenia i obojętności. Dziwnie szczerym stał się on również w uczuciach i sposobie ich wypowiedania. Milczał, gdy nie miał chęci rozmawiać; odchodził, gdy chciał odejść; odwracał się spokojnie od współbiednika, gdy ten zaczynał go nudzić. Ci, którzy od lat wielu wierzyli w jego życzliwość i dobre dla siebie usposobienie, którzy znali go, oraz jego sposób myślenia, nagle uczyli się opuszczonymi, odrzuconymi, nieznanymi ani jego uczuć, ani jego usposobień. Nagle znikły wszystkie uśmiechy, ukłony, uściski dłoni i łaskawe spojrzenia; przepadły wszystkie nawiasowe dodatki do rozmowy: »niech pan będzie łaskaw«, »gołąbeczku«, »wyświadczy mi pan łaskę«, »mój drogi«; słowem wszystko, co tworzyło jego zwykłą, znajomą fizyonomię duchową, ulotniło się niepowrotnie, a ludzie zdumieni byli tą niespodzianą i po-

niekąd przerażającą ich nowością. Tak prawdopodobnie zwierzęta, przekonane oddawna, że odzież ludzka stanowi człowieka, dziwią się ujrawszy go nagim.

Zaledwie przestał być uprzejmym, pękł odrazu łańcuch, wiążący go od lat wielu z żoną, dziećmi i otaczającymi, jak gdyby nitowały go uśmiechy i ukłony, a niepodawanie rąk zerwało łączące go ogniwa. Nie sądził ich surowiej niż dawniej, nie znienawidził, nawet nie dostrzegł w nich nic nie-miłego i odpychającego, lecz poprostu wypadli mu z duszy, jak z ust wypadają zepsute zęby, jak włosy wyłażą, jak martwa skóra schodzi z ciała: bez bólu, nieznacznie, spokojnie. Zrzuciwszy z siebie pokrowiec uprzejmości i konwenansów towarzyskich, nie odczuł nawet, że w ciągu długich dni swego różnorodnego żywota, samotność — jak życie samo — była jego istotnym, niezmiennym stanem duszy.

Rankiem zapominał przywitać się, a wieczorem pożegnać. Gdy żona podawała mu rękę, a córka Zizi swoje gładkie czoło do pocałowania, nie pojmował, co należy uczynić z ręką lub gładkiem czołem. Gdy na śniadanie przychodzili goście — wicegubernator z żoną, albo Kozłow — nie wstawał, żeby ich powitać, nie okazywał zadowolenia z ich przybycia, lecz spokojnie jadł dalej, a zjadłszy, nie prosił Maryi Piotrówny o pozwolenie powstania od stołu, lecz po prostu wstawał i odchodził.

— Dokąd, *Pierre*? Pozostań z nami. Nam smutno bez ciebie. Zaraz podadzą kawę.

Odpowiadał spokojnie:

— Nie... wolę pójść do siebie, a kawy nie chcę.

Niegrzeczność odpowiedzi nikła w tonie, pełnym szczeroci i prostoty. Nie oglądał nowych toalet Zizi, nie wychodził do gości, pozostawiając gubernatorowej wymyślenie odpowiedniej wymówki, przestał zupełnie zajmować się sprawami swego urzędu, a bez objaśnienia przyczyn nie chciał przyjmować przedkładanych mu raportów. Przychodzących jednak z prośbami raz na tydzień przyjmował i uważnie wysłuchał każdego, z niezbyt uprzejmem zajęciem, przyglądając się im od stóp do głowy.

— Panu się zdaje, że tak będzie lepiej? — pytał, wysłuchawszy. — I po otrzymaniu odpowiedzi, pełnej zdziwienia, lecz potwierdzającej, przyrzekał prośbę spełnić. Prawdopodobnie nie myślał wtedy o zakresie swojej władzy, lub miał o niej przesadne wyobrażenie, gdyż często rozstrzygał kwestye, leżące poza obrębem jego kompetencji. To też nowy gubernator długo musiał się biedzić z pozostawioną przez niego przedawnioną gmatwaniną rozporządzeń, zwłaszcza, że mieściły się w niej sprawy, noszące na sobie nieurzędowy charakter.

Marya Piotrówna, pragnąc przerwać zły humor męża, przychodziła kiedy niekiedy do jego gabinetu, przykładając mu dłoń do głowy, aby prze-

konać się czy nie gorąca i zaczęła mówić o zagranicy, lecz on szorstko i niegrzecznie oddalał ją od siebie.

— No dobrze, odejdz. Chcę być sam. Masz swoje pokoje; ja do ciebie nie przychodzę.

— Jakże się zmieniłeś, *Pierre!*

— Głupstwo, głupstwo! — mówił swym niskim, rozkazującym basem, przyciskając plecy do chłodnego, nieogrzanego pieca. — Idź już, idź!... A uspokój swojego mopsa; po całym domu rozlega się jego szczekanie.

Z dawnych przyzwyczajęń, Piotr Iljicz tylko kartom pozostał wierny. Dwa razy na tydzień grywał parę robrów niedrogiemu winta. Z widocznym zadowoleniem traktował grę poważnie, na seryo, a gdy jego partner się pomylił, gromił go piorunowym głosem.

— Pan widocznie o czemś myśli? Przecież wskazywałem panu karo — mówił grzmiącym donośnym tonem, wymawiając wyraz »karo« w taki sposób, jakby nim walił w bęben; a Marya Piotrówna z uśmiechem łowiła dolatujące do bawialnego pokoju słowa męża i pobłażliwie kiwała głową. Żółte jej policzki zwisały, jak u ogara; sypał się puder z twarzy, a wielkie cynamonowej barwy powieki spuszczały się z pod czoła, jak żelazne żaluzje sklepowe, a po chwili podnosiły się znowu. Tak jej, jak i innym osobom zdawało się

rzeczą niemożliwą, aby ktokolwiek bądź ośmielił się zabić człowieka, tak dobrze grającego w karty.

A on czekał i czekał — całe dwa tygodnie przed śmiercią. Prawdopodobnie snuł mu się po głowie i inne myśli — zwykłe, powszednie, o życiu, o przeszłości; słowem stare myśli, wypływające z dawnych przyzwyczajień; myśli człowieka, którego muszkuły i mózg dawno już skostniały; prawdopodobnie również myślał on o robotnikach i o dniu smutnym i strasznym — wszystkie jednak takie rozmyślenia, zamglone i płytkie, pierzchały szybko i w mgnieniu oka nikły w jego świadomości, jak wywołane przelatującym wiatrem zmarszczki na powierzchni wód bystro płynącej rzeki. I znowu, i zawsze, niby czarna toń głębiny, stało przed nim bezdenne, milczące oczekiwanie. Wydawało się, że z myślami jak z ludźmi łączyła go tylko uprzejmość i przyzwyczajenie, a gdy zabrakło przyzwyczajenia i uprzejmości, myśli rozbiegły się na wszystkie strony. Jak sam osobiście w domu, tak i myślą, wśród myśli swoich, czuł się osamotniony.

Czekał. Jak zawsze wstawał o siódmej, oblewał się wodą z lodem, pił mleko i już o ósmej udawał się na zwykłą przechadzkę. Każdym razem, przestępując próg domu, mniemał, że go już z powrotem nie przekroczy, a dwugodzinna przechadzka zamieni się w jakieś zapadnięcie się w głębinę bezdenną. Odziany w palto generalskie z czerwoną

podszewką, wysoki, barczysty, wojowniczy, niosący hardo siwą, nieco w tył odrzuconą głowę, w ciągu dwóch godzin z rzędu, jak wspaniałe widmo, krążył po mieście, wzdłuż domków zczerniałych od deszczu, wzdłuż nieskończenie długich płotów i pustych placów, mijając sklepy i kramy z przeziębniętymi, nisko kłaniającymi się subiekctami. Czy świeciło blade słońce październikowe, czy mżył dokuczliwy, drobny deszczyk, on nieodwołalnie pojawiał się na ulicach — majestatyczne i smutne widmo, poruszające się miarowymi, ciężkimi krokami, trup, ceremonialnym marszem szukający mogiły. Kroczył po błocie i po kałużach, odbijając się w nich czerwoną podszewką rozpiętego paltota; w prostej linii przerzynał ulice, nie zwracając uwagi ani na salutujących go stójkowych, ani na powozy, których ruch powstrzymywał; a gdyby ktoś z pewnej wyżyny przyglądał się jego codziennej wędrówce -oczekiwania, droga, którą przebywał, wydałaby się bacznemu obserwatorowi kapryśnem połączeniem prostych i krótkich linii, wrzynających się jedna w drugą i splątanych w kolczasty, niekształtnie wykoszlawiony kłębek.

Mało zwracał uwagi na to, co się działo obok niego, a nigdy nie oglądał się poza siebie; lecz i przed sobą widział ledwie coś nie coś, tak był pochłonięty bezdennem, czarnem oczekiwaniem. Często nie odklaniał się tym, którzy mu się kłaniali; często spotykał na swojej drodze załężnione

oczy przechodniów, lecz wzrok jego, zwrócony w prostym kierunku, ześlizgiwał się po nich obojętnie.

Znacznie później, gdy już był zabity i oddawna pogrzebany — a nowy gubernator, młody, grzeczny, otoczony kozakami, szybko i wesoło pędził w powozie przez miasto — wiele osób przypominało sobie ową włóczącą się po ulicach dziwną marę, owego siwego starca w generalskim paltocie, zawsze prosto kroczącego po błocie, z głową w tył odrzuconą, oraz jego wzrok nic niewidzący i jego czerwoną jedwabną podszewkę, odbijającą w nieruchomych kałużach.

Nużyła go wrzawa i gwar głównych ulic z natrętną ciekawością ich ludności, więc coraz częściej zapuszczał się w głuche i błotne zaułki z domkami o trzech oknach, z parkanami i wązkiemi drewnianemi, ślizkiemi kładkami, zamiast chodników. W ciągu dwóch tygodni pragnął nieustannie zajrzeć na Kanatną, przejść po niej tam i z powrotem od jednego do drugiego końca, lecz nie zdołał spełnić swego zachcenia, wydawało mu się bowiem niewłaściwem i straszny — straszniejszym od śmierci. I ze smutnym zdziwieniem przypominał sobie, jak to niegdyś, we wrześniu, jeździł po niej bez obawy, a nawet chciał kogoś spotkać, żeby mu się uklonić.

Na jedną jednak ulicę zaglądał codziennie, przechadzając się po niej bez trwogi, powoli. Podo-

bny był wówczas do spokojnie spacerującego staro-rego, dobrodusznego generała, trochę dziwaka. Ulica ta wiodła do gimnazjum żeńskiego. O godzinie dziewiątej z rana wiele uczennic zdążyło po niej do szkoły. Zawsze pierwszy kłaniał się dziewczętom z uszanowaniem, bardzo seryo, nie pomijając najmniejszych, noszących krótkie sukienki po kolana, drepczących po błocie cieniutkiemi nóżkami i dźwigających olbrzymie tornistry. One zaś dziękowały mu zato ukłonem, pełnym zakłopotania. Wzrokiem krótkowidza nie rozróżniał rysów twarzy. Wszystkie twarzyczki, tak małych dziewczynek, jak i dorastających, kształtnych podlotków, wydawały mu się pączkami róż — w czapczkach. Gdy go ostatnia minęła, uśmiechał się połową ust z pod lewego wąsa, goniąc za niemi błyszczącymi oczami, lecz zaledwie skręcił w przecznicę, zamieniał się znowu w trupa, kroczącego ceremonialnym marszem ku mogile.

W ciągu pierwszych kilku dni, z mocy tajnego rozkazu policmajstra, postępowali za nim w pewnej odległości dwaj agenci, których nie zauważył, bo poza siebie nie spoglądał nigdy. Z początku sumiennie towarzyszyli mu wszędzie, idąc za nim we wszystkich kierunkach, jakie mu dyktowało kapryśne, chwilowe zachcenie; wkrótce jednak zaczęli się zaniedbywać; czynność włóczenia się za człowiekiem, który bez sensu i racji kręci się po najniebezpieczniejszych miejscach, połączona

z obowiązkiem wpatrywania się w jego plecy, wydała się im straszliwie głupią. Więc albo zatrzymywali się przed sklepami znajomych, albo gwarzyli z policyantami, albo na kwadrans wpadali do restauracyi. Nieraz przez całą godzinę tracili gubernatora z oczu.

— Czy tak, czy tak, wszystko równo; na nic się nie zdała nasza robota — usprawiedliwiał się jeden z nich, podobny do urzędnika z konsystorza, gładko ogolony, o kształtnej postaci i zwykle trzeźwy. Skwapliwie przeżuwał gorący pasztecik. Jeszcze go nie zjadł, a już lewą ręką uniósł w górę metalową pokrywę ogrzanej skrzynki, żeby sięgnąć po drugi. — Jeśli ktoś na starość rozum traci i sam lezie na rożen, proszę mi powiedzieć, co z nim robić należy?

— Czcza forma — rzekł bufetowy.

— A Sandacz? — zapytał drugi wąsaty, nachmurzony, podobny do przepitego właściciela ziemskiego, był zaś w rzeczy samej ex-szulerem niższej kategorii, któremu nie wiodło się w karty. Wielkimi, psiemi kęsami połykał kielbasę, śledzie i wszystko, co nawinęło się pod rękę. Zdawało się, że je powoli, lecz wistocie pochłaniał wiele i pośpiesznie; wódkę pił także, nie upijał się jednak nigdy, nie będąc również nigdy sytym.

— No cóż Sandacz?! Przecież sam rozumie, że my nie aniołowie z nieba.

— To tak jak koń w czasie pożaru. Ciągną

go, a on się opiera. Spali się, a nie wyjdzie ze stajni — powiedział bufetowy.

— My nie aniołowie — westchnąwszy, powtórzył pierwszy.

Wistocie, ci dwaj upadli ludzie nie byli wcale podobni do aniołów i nie mieli siły powstrzymać góry, walącej się na skazanego.

Gubernator, przekraczając z powrotem próg swojego domu, nie doznawał radości i nie cieszył się myślą, że mu pozostaje jeszcze jeden dzień życia. Przyjmował fakt, nie zastanawiając się nad nim, jakby zapomniał o znaczeniu swojej przechadzki — i pogrążony w ogromnem, tajemniczem oczekiwaniu, czekał na dzień następny. I czcze, beczynne dni mijały bardzo szybko, a czas nie posuwał się naprzód, jakby mechanizm, wyrzucający z siebie dni nowe, popsuł się ze szczętem, bo zamiast dnia następnego wyrzucał stary, ciągle jeden i ten sam. Nawet zegarowy kalendarz, stojący na biurku, który on sam nastawiał najczęściej wieczorem, jakby tym sposobem chciał skłonić dzień jutrzejszy do rychlejszego przybycia, zamarł nieruchomy na jakiejś starej, dawno minionej dacie, a on spoglądając na tę, niby zastygłą na cyferblacie czarną liczbę, chociaż nie domyślał się o co chodzi, odczuwał dotkliwy ból w piersi, coś w rodzaju mdłości, więc żwawo od kalendarza odwracał oczy.

— Głupstwo! — mówił gniewnie.

Obecnie, gdy pozostawał sam jeden, wypowiadał głośno pewne oderwane wyrazy, nie związane z żadną jaśniej określoną myślą. Najczęściej powtarzał: »głupstwo« i »wstyd«.

Śmierci się nie lękał. Przedstawiał ją sobie tylko z zewnętrznej strony. Oto strzelą do niego, padnie, potem: pogrzeb, muzyka, niosą ordery — i to wszystko. Spotkać ją chciał mężnie. Nie myślał wcale, czy będzie jakie życie i sąd za grobem, czy nie; wszystko dla niego tu się kończyło. Jadał dobrze, ze zwykłym apetytem, sypiał twardo, bez sennych marzeń.

Raz jednak nocą, — a było to na trzy dni przed zabójstwem — przyśniło mu się prawdopodobnie coś przykrego, bo zbudził go jęk własny, głuchy i chrypliwy. Usłyszawszy głos dziwnie i niezwykle brzmiący, oraz widząc przed oczami tylko ciemność zupełną, uczuł strach śmiertelny i osłabienie. Ukrył głowę pod kołdrą, skurczył się w kablak i zgiąwszy kościste kolana, podniósł je aż do twarzy. W tej postawie zadumał się głęboko. Myśl jego w jednej chwili przebiegła wstecz całe minione życie od starości do dzieciństwa — i nagle gorzko zapłakał, szepcząc błagalnie, zwrócony ku miękkiej i mokrej poduszce:

— Ulituj się nademną! Niech ktokolwiek bądź przyjdzie do mnie! niech przyjdzie!! O-o-o!...

Wkrótce jednak, wśród łez, odczuł jaźń własną; przypomniła mu ją dziwna poza, wielkie

stare ciało, oraz głos gruby i donośny. Więc zamilkł.

Milcząc, leżał długo w tej samej dziwnej pozycji i szeroko rozwartymi oczami patrzył w ciemność pod kołdrą.

Lecz nazajutrz rankiem, wdział znowu na siebie generalskie palto i dwa dni jeszcze migiała tu i tam, odbijająca się w kałużach czerwona podszewka, a po ulicach krążyła wspaniała mara, trup raczej, ceremonialnym marszem szukający mogiły.

Stało się to szybko i w najzwyczajniejszy sposób, jak zmiana obrazu w panoramie. W miejscu, w którym ulica zbiega się z małym placikiem, na którym w piątce sprzedawano siano, jakiś niepewny, wahający się głos zawołał na gubernatora:

— Jaśnie wielmożny panie!...

— A?

Zatrzymał się i odwrócił głowę. Od parkanu, przecinającego w poprzek uliczkę, brnąc po błocie, szli ku niemu pośpiesznie dwaj ludzie. Jeden w wysokich butach, drugi w półbucikach, bez kałoszy, lecz z podwinętymi spodniami. Widocznie musiał nogi przemoczyć i drżał od zimna, bo twarz miał zielono-błądą, a płowe włosy, jasną swą barwą odrzynały się wyraźnie od koloru cery. W lewej ręce trzymał złożony w czworo arkusz papieru, prawą zaś wsunął w kieszeń głęboko.

Wszystko odrazu stało się zrozumiałem: dla

niego — że przyszła śmierć; dla nich — że on wie o tem.

— Przepraszam — powiedział jeden, a twarz jego przeciągnęła się dziwnie.

— Prośba? o co? — równie niepotrzebnie, zapytał gubernator, jakby czuł się obowiązany odgrywać komedję do końca, ręki jednak po papier nie wyciągnął.

A ów człowiek, trzymając w lewej jeszcze rękę, nikogo nie okłamujący arkusz, nie podawał go gubernatorowi, tylko, marszcząc czoło z wysiłku, wydobywał prawą rewolwer, zaplątany w podszewce.

Gubernator od niechcienia obejrzał się wokoło szybko. Otaczał go pusty, brudny plac, z wdeptanymi w błoto wiechciami siana; przed nim wznosił się wysoki parkan. Wszystko jedno, za późno! Westchnął krótkim, lecz bardzo głębokim westchnieniem i wyprostował się bez lęku, lecz i bez zuchwalstwa; jednakże w wyrazie twarzy, a może tylko w zmarszczkach jego siwego, wielkiego, mięsistego nosa ukrywało się coś, jakby tęsknota za życiem i nieuchwytna, cicha i pokorna prośba o liść. Lecz on sam o niej nie wiedział, a stojący przed nim ludzie jej nie dostrzegli. Padł zabity trzema, nieprzerwanie po sobie następującymi wystrzałami, zlewającymi się w jeden gromki odgłos.

W trzy minuty przybiegł stójkowy, za nim agenci śledczy i lud, jak gdyby wszyscy zgroma-

dzili się gdzieś w pobliżu i za węglem oczekiwali końca. Trupa nakryto. W dziesięć minut później zajechał szpitalny furgon z czerwonym krzyżem, a po całym mieście rozległy się krzyżujące się zapytania i odpowiedzi.

— Zabity?

— Na śmierć.

— A kto?... Czy schwytano zabójców?

— Nie, uciekli. Jacyś nieznani. Trzech ich było.

I cały dzień mówiono z ożywieniem o zabójstwie; jedni je potępiali; inni, radując się, pochwalali. We wszelkich jednak zdaniach, jakie wygłaszano w tym względzie, tętnił dreszcz strachu i przerażenia. Coś ogromnego i wszystko wokół niszczącego, jak cyklon, przemknęło nad życiem, a z poza jego powszednich codziennych szczegółów, z poza samowarów, pościeli i kołaczy, wyłaniała się z mgły groźna wizya Prawa-Mściciela.

Gimnazyastka płakała.



CHRZEŚCIJANIE

Na ulicy padał mokry śnieg październikowy, a w gmachu sądowym panowało ciepło; ożywienie i wesołość, zwłaszcza dla tych, którzy przywykli codziennie, z obowiązku go odwiedzać, spotykać się ze znajomymi, otwierać jeden i ten sam kufel wina i męczyć się w rozmowach. Przed oczyma ich, jak w teatrach, rozgrywały się dramaty — tak zwane «dramaty sądowe» — więc wcale przyjemnie było patrzeć na publiczność, słuchać wrzawy, tętniącej w korytarzach, a czasem się temu bawić. Wesoło było także w biurze; już elektryczność w nim zafasziła, a na ławce ukazało się mnóstwo smacznych przekąsek. Pito, rozmawiano, zapadano. Jeśli dostrzeżono się jakieś zamurzone czoło to i ono nie psuło humoru, tak bowiem być powinien w życiu, rzucając wzrok na tam, gdzie z dala na dziedzińcu rozgrywały się «dramaty sądowe». Otu w pobliskiej izbie sąsiadującej się pod sąd, tam stoi żołnierz z karabinem a gdzieś dalej brzęczą kajdany. Wesoło, ciepło, wygodnie.

Na ulicy padał mokry śnieg październikowy, a w gmachu sądowym panowało ciepło, ożywienie i wesołość, zwłaszcza dla tych, którzy przywykli codziennie, z obowiązku go odwiedzać, spotykać się ze znajomymi, otwierać jeden i ten sam kałamarz i maczać w nim jedno i to samo pióro. Przed oczyma ich, jak w teatrze, rozgrywały się dramaty — tak zwane »dramaty sądowe« — więc wcale przyjemnie było patrzeć na publiczność, słuchać wrzawy, tętniącej w korytarzach, a samemu się tem bawić. Wesoło było także w bufecie; już elektryczność w nim zajaśniała, a na ladzie ukazało się mnóstwo smacznych przekąsek. Pito, rozmawiano, zjadano. Jeśli dostrzegło się jakieś zachmurzone czoło, to i ono nie psuło harmonii, tak bowiem być powinno w życiu, zwłaszcza zaś tam, gdzie z dnia na dzień rozgrywają się »dramaty sądowe«. Oto w poblizkiej izbie zastrzelił się podsądny; tam stoi żołnierz z karabinem; a gdzieś dalej brzęczą kajdany. Wesoło, ciepło, wygodnie.

W drugim oddziale karnym zgromadziła się liczna publiczność, słuchająca zajmującej sprawy. Wszyscy zasiedli na swoich miejscach: przysięgli, obrońcy, sędziowie; reporter, dotąd jedyny, przygotował papier, pocięty na wążkie świstki, i przypatruje się wszystkiemu z przyjemnością. Tłusty, o zwiędłej twarzy, prezes, z siwymi wąsami, tonem urzędowym przywołuje szybko świadków:

— Jefimow! Jak panu i ojcu pańskiemu na imię?

— Jefim Piotrowicz Jefimow!

— Czy złożysz pan przysięgę?

— Złożę.

— Proszę odejść na stronę. Karasjew!

— Andrzej Jegorycz... Złożę.

— Proszę odejść... Blumental!

Wcale liczna gromadka świadków, około dwudziestu osób, żwawo przechodzi z lewej na prawą stronę. Na zapytania prezesa jedni chętnie odpowiadają głośno i prędko i sami odchodzą na bok; na drugich spada zapytanie znienacka, więc niezrozumiawszy go, milczą i oglądają się za siebie; nie wiedzą, czy wywołane nazwisko odnosi się do nich, czy też do kogo innego, znajdującego się na sali. Pewni siebie świadkowie oczekiwali na całkowite zapytania i odpowiadali na nie w pełni, bez zmieszania, z rozmysłem; odchodzili zaś na bok dopiero na wyraźne polecenie prezesa, nie stając między drugimi.

Obwiniony, młody człowiek, w wysokim kołnierzyku, stawający przed sądem za marnotrawstwo i oszustwo, skwapliwie pokręcał wąsiki i ciągle patrzył w ziemię, jakby się nad czemś namyślał; gdy wymieniano pewne nazwiska, odwracał się, spoglądał z odrazą na wezwanego i znowu ze zdwojoną skwapliwością podkręcał wąsy i rozważał. obrońca, także młody człowiek, ziewał w kulał i gibko przeciągał ramiona, patrząc z przyjemnością w okno, za którem padały leniwie duże, mokre płaty śniegu. Wyspał się dziś dobrze i tylko co w bufecie zjadł na śniadanie porcyę gorącej szynki z groszkiem.

Pozostało jeszcze sześć osób niewywołanych, gdy wtem przewodniczący natknął się w żwawym rozpędzie na coś nieoczekiwanego:

— Czy pani złoży przysięgę? Proszę na...

— Nie.

Jak człowiek, który po ciemku wpadnie na drzewo i łbem w nie uderzy, tak i prezes zatrzymał się chwilę, uczuł bowiem, że nic jego pytań nagle się urwała. Starał się w pośród gromady świadków wyróżnić tę, która odpowiedziała tak stanowczo i cierpko — głos bowiem był kobiecy, lecz wszystkie kobiety wydały mu się do siebie podobne i wszystkie z jednakim szacunkiem i jedną gotowością odpowiadania na zapytania, patrzyły mu w oczy. Spojrzył na listę imienną.

— Pelagia Wasiljewa Karaułowa! Czy pani

zgadza się złożyć przysięgę?! — powtórzył, wlepiając oczy z oczekiwaniem w grupę kobiet.

— Nie.

Teraz ją spostrzegł. Kobieta w średnim wieku, dość piękna, czarnowłosa, stoi poza innemi. Pomimo kapelusza i sukni modnej, z bufiastymi rękawami i niesmacznie zmarszczonej na piersi, nie wydaje mu się ani bogatą, ani wykształconą. W uszach ma cygańskie kulczyki z wielkimi, dętemi kołami, w rękach, złożonych na brzuchu, trzyma niewielką torebkę. Odpowiadając, porusza tylko ustami, cała zaś twarz, koła w uszach i dłonie z torebką, nie poruszają się wcale.

— Przecież pani prawosławna?

— Tak, prawosławna.

— Dlaczegoż więc nie chcesz przysięgać?

Kobieta patrzy mu w oczy i milczy. Stojący przed nią rozstąpili się. Widać ją teraz całą, z jej torebką i cienkimi, pożółkłemi rękami.

— Może pani należy do jakiej sekty, nieuznającej przysięgi? Proszę nie bać się i mówić śmiało. Nic się jej zato nie stanie. Sąd przyjmie do wiadomości pani objaśnienie.

— Nie.

— Zatem, nie sektantka?

— Nie.

— Więc może lękaasz się pani, że w zeznaniach, jakie tu złożysz, znajdzie się coś dla niej niemilego... coś osobiście dla niej niedogodnego...

czy pani rozumie?... Na takie zapytania, według praw obowiązujących, wolno pani nie odpowiadać. Czy mnie pani rozumie? Zatem teraz, zgadzasz się?

— Nie.

Młody jej głos, młodszy od twarzy, brzmi stanowczo; prawdopodobnie w śpiewie dźwięczyć musi pięknie.

Przewodniczący, wzruszywszy ramionami, przywołuje wzrokiem jednego z członków sądu, siedzącego bliżej niego z lewej strony i szepcze mu coś do ucha. Ten również odpowiada szeptem.

— Tu musi być coś nienormalnego. Czy nie brzemienna przypadkiem?

— Cóż znowu? Jakieżby tu znaczenie mogła mieć brzemiennność? Zresztą nie widać tego wcale... Świadku Karaułowo! sąd pragnie się dowiedzieć, na jakiej zasadzie uchylasz się pani od przysięgi. Nie możemy... ot tak sobie, ni z tego ni z owego... od niej panią uwolnić. Chciej odpowiedzieć. Czy pani słyszy, czy nie?

Nieporuszając się z miejsca, kobieta odpowiada coś krótko, lecz tak cicho, że niepodobna jej zrozumieć.

— Sąd nic nie słyszy. Głośniej proszę!...

Odkaszlęta i mówi bardzo głośno:

— Jestem prostytutką.

Obrońca, który po cichu tupał nogą w podłogę, wybijając takt, zgodny z tańczącymi w jego

głowie myślami, przestaje tupać i uważnie zaczyna się jej przypatrywać.

»Trzebaby rozniecić światło elektryczne« — myśli on, a komisarz sądowy, jak gdyby odgadł jego życzenie, naciska jeden i drugi guzik. Publiczność, przysięgli i świadkowie podnoszą głowy, spoglądając na roziskrzone lampki; tylko sędziowie, przywykli do efektów nagle wywołanego oświetlenia, pozostają obojętni. Teraz w sali zrobiło się całkiem przyjemnie. Względna jasność i śnieg za oknami ściemniały zupełnie. Wygodnie! Jeden z przysięgłych, starzec, przygląda się Karaulowej i mówi do sąsiada:

— Z torebką...

Sąsiad w milczeniu kiwa głową.

— Więc cóż z tego, że pani jesteś prostytutką? — mówi przewodniczący, a wyraz »prostyutka« wymawia tak zwyczajnie, jak wymawia inne nie zupełnie zwyczajne wyrazy: »morderca«, »grabieżca«, »ofiara«. — Przecież pani jesteś chrześcijanką?

— Nie, nie jestem chrześcijanką. Gdybym była chrześcijanką, nie zajmowałabym się tem, czem się zajmuję.

Sytuacja staje się wcale głupią. Przewodniczący, zmarszczywszy brwi, naradza się z asystentem z lewej strony, poczem chce mówić, lecz przypomina sobie nagle, że po prawej stronie siedzi drugi członek sądu, który przez cały ten czas tylko się uśmiechał. Więc pyta go o zdanie.

Sędzia odpowiada mu tymże samym uśmiechem i kiwnięciem głowy.

— Świadku Karaulowo! Sąd postanowił sprostować jej mylne mniemanie. Na podstawie, że zajmujesz się prostytutką, nie uważasz się za chrześcijankę i nie chcesz składać przysięgi, nakazanej przez prawo. Otóż takie pojęcie jest błędne... Czy mnie pani rozumie?... Czem się pani zajmuje, to rzecz jej sumienia, a my do tego mieszać się nie możemy; przynależność zaś do wiadomego kultu religijnego, nie może również mieć wpływu na jej zajęcie. Czy mnie pani rozumie? Można być rozbójnikiem, albo złodziejem, i mimo to uważać się za chrześcijanina, żyda lub mahometanina. Oto my wszyscy tu zgromadzeni: zastępca prokuratora, panowie przysięgli, zajmujemy się różnemi sprawami; jedni pełnią służbę państwową, inni handlują, a to wszystko nie przeszkadza nam być chrześcijanami.

Członek sądu z lewej strony szepcze:

— To się panu nie udało. Rozbójnik, a potem zastępca prokuratora!... Poczem: handlują!... Kto handluje? Czyżby tu był nie sąd, tylko kram? Tak nie można, to niezręcznie!

— A więc — ciągnie dalej przewodniczący, odwracając się od sąsiada — zajęcie jej nie ma tu żadnego znaczenia. Spełniasz pani pewne obrzędy religijne, chodzisz do kościoła... Wszakże pani chodzi do kościoła?

— Nie.

— Nie? a dlaczego?

— Jakże taka jak ja ma chodzić do kościoła?!...

— Lecz pani przystępuje do spowiedzi i do świętych sakramentów?

— Nie.

Karaulowa nie odpowiada głośno, lecz zrozumiale.

Ręce jej z torebką, jakby zastygłe na brzuchu, nie poruszają się wcale, a koła złote w uszach ledwie, ledwie się kołyszą. Od światła elektrycznego, czy też pod wpływem wzruszenia, twarz jej zaróżowiła się nieco i wydaje się młodszą. Publiczność przygląda się jej ciekawie, a po każdym nowem »nie« uśmiecha się nieznacznie. Pewien słuchacz z tylnych rzędów, jak się zdaje rzemieślnik, chudy, z wyskubaną brodą i wypukłą grdyką na wyciągniętej, cienkiej szyi, szepcze radośnie, pragnąc, aby go wszyscy słyszeli:

— A to odpaliła!...

— No, wszakże pani modli się prawdopodobnie?

— Nie. Modliłam się niegdyś, obecnie przestałam.

Członek sądu z lewej strony szepcze natarczywie.

— Powołaj pan inne kobiety, wezwane na świadki. Należą przecież do tej samej kategorii... Zapytaj, czy chcą przysięgać?

Przewodniczący niechętnie bierze listę imienną i mówi:

— Świadek Pustoszkina! zajęcie pani, jeśli się nie mylę...?

— Prostytutka! — szybko, prawie wesoło odpowiada młodzianka dziewczyna, także w kapeluszu i sukni modnej. Bardzo jej się w sądzie podoba. Już parę razy zerknęła na obrońcę. Ten zaś pomyślał sobie: »Byłaby z niej wcale ładna pokojówka, nie żałowanoby jej napiwków«.

— Czy pani złoży przysięgę?

— Chętnie!

— Widzi pani! Towarzyszka jej zgadza się złożyć przysięgę. A pani Krawczenko, pani także... Powiedz-że pani, czy zgadzasz się również?

— Zgadzam się — potężnym kontraltem, prawie basem, odpowiada tłusta, z dwoma podbródkami Krawczenko.

— Otóż, jak pani widzi, jeszcze jedna... Wszystkie się zgadzają. Jakże będzie?

Karaułowa milczy.

— Nie zgadza się pani?

— Nie.

Pustoszkina uśmiecha się do niej przyjaźnie. Karaułowa odpowiada jej lekkim uśmieszkiem i znowu staje się poważną. Sąd naradza się. Późem przewodniczący przyobleka twarz słodkim, ujmującym, religijnością przejętym wyrazem; zwraca się do duchownego, który stoi już przygotowany

do odebrania przysięgi i przysłuchuje się w milczeniu.

— Ojczy! czy ze względu na upór świadka nie zechcesz podjąć się obowiązku przekonania jej, że jest chrześcijanką? Niech się pani zbliży!

Karaułowa, nie usunawszy rąk z brzucha, postępuje dwa kroki naprzód. Pop zmieszał się i poczerwieniał — szepcze coś przewodniczącemu do ucha.

— Nie, ojczy — odpowiada przewodniczący — tu jakoś nie wypada... lękam się bowiem, że i te drugie...

Poprawiwszy krzyż na piersiach i czerwieniąc jeszcze bardziej, duchowny zaczyna mówić bardzo cicho:

— Moja pani! uczucia, przez nią wyrażone, zaszczyt jej przynoszą, są to jednak zaledwie chrześcijańskie uczucia...

— I ja to samo mówię; jaka też to ze mnie chrześcijanka!...

Pop bezradnie spogląda na przewodniczącego; ten zaś mówi:

— Proszę wysłuchać ojca duchownego! on pani wyjaśni...

— Wszyscy, moja pani, grzeszni jesteśmy wobec Pana: jedni myślą, drudzy słowem, inni wreszcie czynkiem; do Niego, do Najmiłościwszego, należy sąd nad sumieniem naszym. Pokornie i z podaniem się, jak niegdyś wybrany przez Boga Hijob,

powinniśmy przyjmować wszystkie dolegliwości, jakie Pan na nas zsyłać raczy, pamiętając o tem, że bez woli Jego ani jeden włos z głowy naszej nie spadnie. Jak wielki nie byłby grzech twój, pani, osądzenie siebie samej i samowolne odłączanie się od Kościoła, staje się cięższym grzechem, bo targnięciem się, mającem na celu zmianę woli Bożej. Być może, iż grzech, zesłany ci został, aby cię doświadczyć, nieraz bowiem zsyła Pan na ludzi choroby, albo utratę mienia, pani zaś w pysze swojej...

— Lecz, ojczulku, jakaż to pycha być może przy naszym zajęciu...

— Uprzedzasz sąd Chrystusowy i zuchwale wyrzekasz się obcowania z świętym Kościołem prawosławnym. Czy znanem jest pani wyznanie wiary apostołskiej?

— Nie.

— Lecz pani wierzy w Pana Naszego, Jezusa Chrystusa?

— A jakże, wierzę.

— Każdy szczerze wierzący w Chrystusa, już przez to samo nazwać się może chrześcijaninem...

— Pani rozumie, potrzeba tylko wierzyć w Chrystusa — potwierdza przewodniczący.

— Nie! — stanowczo odpowiada Karaulowa. — Cóż z tego, że wierzę, gdy pomimo to jestem taką? Gdybym była chrześcijanką, nie byłabym taką. Ja się nawet nie modłę.

— To prawda — potwierdza świadek Pustoszkina — ona się nigdy nie modli. Do naszego mieszkania przyniesiono obraz — mieszkanie nasze ładne, piętnaście rubli komornego płacimy — to ona uciekła na drugą stronę. Co my się jej nie naprosili! wszystko na nic. Przepraszam państwa, ale ona już taka. Jej samej, proszę panów sędziów, z tym charakterem niedobrze.

— ...Pan nasz, Jezus Chrystus — ciągnął dalej duchowny, spoglądając na prezesa — przebaczył jawnogrzesznicy, gdy uczyniła pokutę...

— Więc pokutowała, a ja, czy pokutowałam?

— Nadejdzie czas, w którym światło boże spłynie w pani duszę, a z niem i żal za grzechy.

— Nie! Chyba na starość, albo przed skonaniem, ale naco to się wówczas przyda? Grzeszyła, grzeszyła, a potem w ciągu minuty żal ogarnia i chce odpokutować grzechy. Nie! nie! wtedy to już sprawa skończona!

— Bo i prawda! jakaż to wtedy pokuta! — potwierdziła basowym głosem uważnie przysłuchująca się Krawczenko. — Śpiewała pieśni, piwo piła i gości przyjmowała, aż nagle trzask!... pokutuje. Co po takiej pokucie? Nie! nie! sprawa skończona!...

Poruszyła się i krótkimi, tłustymi palcami zdjęła nitkę z ramion Karaulowej. Ta ani drgnęła. »Muszą w duecie dobrze śpiewać« — myślał obrońca. »Ta ma piersi, jak miechy kowalskie.

Tęskno śpiewać muszą. Gdzie one mieszkają? Ze ja też sobie tego nie przypominam.

Przewodniczący rozłożył ręce i, znowu nadając twarzy wyraz dobroduszości religijnej, zwrócił się do duchownego.

— Wybacz ojczy!... Dziwny upór. Przepraszam, żeśmy cię niepokoiili na próżno.

Pop skłonił się nisko i odszedł na swoje miejsce przy pulpicie. Ręce mu drżały, gdy poprawiał krzyż na piersiach.

Publiczność szeptała, rzemieślnik zaś, któremu — jak się zdawało — broda w ciągu rozprawy zrzedła jeszcze bardziej, wyciągał szyję wokoło i nadstawiał uszy, uśmiechając się przytem z zadowoleniem. »A to ich zagwoździła!« — szeptał prawie głośno, gdy kto na niego spojrzał. Obwiniony, niezadowolony z przerwy, ze wstrętem spoglądał na Karaułową, skwapliwie pokręcał wąsiki i nad czemś rozmyślał.

Sąd naradzał się.

— Co począć? Istna idiotka! — z oburzeniem mówił przewodniczący. — Ludzie ją gwałtem ciągną do królestwa niebieskiego, a ona...

— Według mego mniemania — rzekł członek sądu — trzeba by zbadać jej stan umysłowy. W średnich wiekach sądy skazywały na stos kobiety, które w rzeczy samej były tylko histeryczkami, nie zaś czarownicami.

— Pan znowu swoje! W takim razie, proku-

ratora raczej należałoby poddać zbadaniu! Popatrz-no pan co wyprawia!

Zastępca prokuratora, człowiek młody, w wysokim kołnierzyku, z podkreconymi wąsikami, w ogólności dziwnie podobny do oskarżonego, starał się już oddawna zwrócić na siebie uwagę sędziów. Zrywał się z krzesła, poczem siadał, prawie pokładał się na pulpicie, uśmiechał się, kręcił głową i całym ciałem pochylał się naprzód ku przewodniczącemu, gdy ten przypadkiem na niego spoglądał. Widocznem było, że coś wie i z niecierpliwością pragnie to wypowiedzieć.

— Czego pan sobie życzy, panie prokuratorze? Tylko, proszę, chciej mówić jak najkrócej!

— Racz pozwolić... — i nie czekając na odpowiedź, zastępca prokuratora wyprostował się z olbrzymią szybkością i gwałtownie zapytał Karaulową:

— Obwiniona... przepraszam, wezwana na świadka... jak się pani zowie?

— Grusza.

— To będzie... to będzie Agrafena, czyli Agrypina. Imię chrześcijańskie. Zatem byłaś ochrzczoneą. Na chrzcie dano pani imię Agrafeny. A więc...

— Nie. Na chrzcie dano mi imię Pelagii.

— Lecz dopiero co powiedziała pani przecież przy świadkach, że zowią cię Gruszą?

— No tak, zowią Gruszą, lecz na chrzcie dano mi imię Pelagia.

— Ależ pani...

Przewodniczący przerwał.

— Panie prokuratorze! ona i na liście imiennej zapisana, jako Pelagia. Zobacz pan!

— W takim razie nie mam nic...

Gwałtownym ruchem podniósł poły surduta, spojrzawszy równocześnie groźnie na obwinionego i obrońcę — i usiadł.

Karaułowa czekała. Cała ta historia wywołała jakieś głupie wrażenie. Rozhowor wśród publiczności stawał się coraz głośniejszy, a komisarz sądowy już kilkakrotnie surowym wzrokiem powiódł po sali, podnosząc palec w górę. Położenie stawało się śmiesznem, uwłaczającym powadze sądu.

— Cicho tam! — krzyknął przewodniczący. — Panie komisarzu! każdego rozmawiającego proszę kazać wyprowadzić z sali.

Jeden z przysięgłych powstał. Był to wysoki, koszlawy starzec, w surducie o długich połach, widocznie sekciarz. Zwrócił się do przewodniczącego.

— Czy mogę zadać jej pytanie?... Karaułowa! jak dawno trudnisz się pani nierządem?

— Lat ośm.

— A przedtem czem się pani zajmowała?

— Służyłam za pokojówkę.

— Kto panią uwiódł? Synek, czy sam gospodarz?

— Gospodarz.

— A wiele dał?

— Dziesięć rubli pieniędzmi, srebrną broszkę i kawał kaszmiru na suknię. Ma własny sklep w bazarze.

— Czy zato warto było się puścić?

— Byłam młoda, głupia. Sama wiem teraz, że to mało.

— Czy były dzieci?

— Było jedno.

— Coś z niem zrobiła?

— Umarło w ochronce.

— Chorowałaś?

— Chorowałam.

Starzec ze wstrętem odwrócił się i siadł. Siedząc już, rzekł:

— W rzeczy samej, co z ciebie za chrześcijanka! Za dziesięć rubli duszę dyabłu sprzedałaś, ciało splugawiłaś...

— Bywa czasem, że staruszkowie dają więcej — broniła przyjaciółkę Pustoszkina. — Kilka dni temu był u nas także pewien staruszek stateczny, podobny zupełnie do pana...

Publiczność zachichotała.

— Świadek Pustoszkina, proszę milczeć! Was nikt nie pyta! — groźnie przerwał przewodniczący. — A pan czego sobie życzy, panie przy sięgły?... Czy chcesz także o coś zapytać?

— Gdy już do tego przyszło, to sądzę, że i mnie

pozwolcie słówko wściubić — powiedział cienkim, niemal dziecinnym głosem niezwykle wysoki i gruby kupiec. Cała jego postać, zdawała się złożona z kul i półkuli. Brzuch miał okrągły; niemal kobiecą, okrągłą, wzdętą pierś, jak u Kupidyna; okrągłe policzki i ściągnięte w środku w kółeczko różowe wargi. — A ot co, Karaułowa, czy jak się tam zowie... z Bogiem rachuj się, jak ci się podoba, lecz na ziemi spełniaj swoje obowiązki. Dzisiaj nie chcesz przysięgi złożyć, »boś nie chrześcijanka«, a jutro kraść może z tej przyczyny pójdziesz, albo też którego z gości zielem sennem upoisz... Wam to nie nowina! Zgrzeszyłaś, to pokutuj! na to są cerkwie! A wiary się nie wyrzekaj, bo jeżeli podobne do was wiary się wyrzekną, to już niegodne są żyć na świecie.

— A cóż? może i kraść będę... Powiedziałam, że nie chrześcijanka.

— Kupiec pokręcił głową, siadł i, przycisnąwszy się olbrzymim tułowiem do sąsiada, rzekł głośno:

— Trafia się niekiedy taka baba, że ręce na niej połamiesz, a z miejsca jej nie ruszysz.

— Panie sędzio, i takie grubasy nie zawsze uczciwymi bywają... — ujmowała się za koleżanką Pustoszkina. — Kilka dni temu przyszedł do nas taki tłuszcioch, podobny do tego pana. Wypił, narobił nieporządku, zabawił się, a potem tylnymi drzwiami chciał uciekać. »Ja« — powiada — »woskiem i świecami handluję, więc nie życzę sobie,

żeby pieniądze święte szły na tę podłą sprawę! A sam pijany, pijaniuteńki... Po mojemu...

— Niech świadek milczy!

— Po prostu złodziej, nic więcej. Ot macie panowie tłuszciochów!

— Milczeć! bo każę was za drzwi wyprowadzić!... A pan, czego sobie życzy, panie prokuratorze?

— Pozwól pan... Wezwana na świadka, Karaulowa! zrozumiałem, że Grusza to przezwisko, właściwe zaś twoje imię Pelagia. Wynika z tego, że byłaś ochrzczona. Jeżeli zaś panią ochrzczono według prawem ustanowionego obrzędu, to jesteś chrześcijanką, jak to prawdopodobnie zaznaczono w jej metryce. Sakrament chrztu, jak wiadomo, stanowi istotę nauki chrześcijańskiej...

Prokurator, owładający obecnie założeniem, pragnął je oświetlić coraz surowszym poglądem.

— Zaraz zacznie rozprawiać o paszporcie — szepnął przewodniczący, przerywając mowę, poczem zwrócił się do Karaulowej. — Pani rozumie, że jako ochrzczona, jesteś chrześcijanką. Czy zgadzasz się zatem na przysięgę?

— Nie.

— No, widzi pan, panie prokuratorze, ona się nie zgadza.

Złość brała, słuchając tego wszystkiego. Baniak i głupi babski upór zahamowały całą sprawę; w miejsce płynnej, dokładnej i zgodnej działalności

aparatu sądowego, wyłaniał się zeń jakiś niedorzeczny bezład. Ze zwykłą u mężczyzn skrytą pogardą dla kobiety, mieszało się tu uczucie urazy. Pomimo całego jej zachowania się, kobieta ta wydawała się lepszą od wszystkich, lepszą od sędziów, lepszą od przysięgłych i publiczności.

Elektryczność świeci jasno... Wszystko byłoby tak dobrze, gdyby nie jej upór.

Wśród publiczności nikt się już nie śmieje, a robotnik, z wyskubaną bródką, wpada niespodzianie w niewytlómaczony stan rozstroju i mówi:

— Eh! jakbym ja ci tak dał z raz, pewniebyś wszystko pojęła!

Sąsiad, nie patrząc na niego, odpowiada:

— Ty, bracie, chciałbyś rzecz pięścią rozstrzygnąć. Oto raczej, staraj się ją przekonać.

— Zamilcz pan, bo tego nie rozumiesz. Pięść także przez Boga dana.

— Gdzież to panu bródkę wyskubali?

— Gdzie wyskubali, to wyskubali!

Komisarz sądowy syknął, rozmowy milkną, wszyscy z ciekawością patrzą na naradzających się sędziów.

— Posłuchaj, Lwie Arkadyewiczu! Toż to, Bóg wie, co! — woła członek sądu. — To nie sąd, tylko jakiś dom waryatów! Czy my ją sędzimy, czy ona nas? Pokornie dziękuję za taką przyjemność!

— A panu co znowu! Czy się panu zdaje, że

ja umyślnie...? — mówi zaczerwieniony przewodniczący. — Niech pan spojrzy na tę grubą, na Krawczenkę, wszakże ona pożera ją oczami. Gotowe tu nowe odszczepieństwo ogłosić. Dziękuję panom najpokorniej!... Czy pan, panie przysięgli, życzy sobie co powiedzieć? Tylko, proszę, jak najkrócej. Straciliśmy już pół godziny na próżno.

Podniósł się młody człowiek, o niezwykle inteligentnym, a nawet uduchowionym wyrazie twarzy. Długie, wełniste włosy, jak u poety albo u młodego popa, spadały mu na ramiona. Przedramię u ręki miał cienkie i suche. Mówił z pewnym wysiłkiem, jakby wyrazy, przezeń wymawiane, z trudnością pokonywały opór powietrza. W ciągu dyskusji z Karaułową krzywił się boleśnie, a i teraz jeszcze w cichym jego głosie dźwięczy nuta cierpienia.

— To, co pani mówi, jest bardzo smutne, a ja mam dla niej serdeczne współczucie, lecz chciej zrozumieć, że nie można obniżać ducha chrześcijaństwa, sprowadzając go do poziomu pojęć o grzechu i dobrych uczynkach, oraz uczęszczania do cerkwi i asystowania przy religijnych obrzędach. Istota chrystyanizmu tkwi w mistycznym obcowaniu z Bogiem...

— Przepraszam — przerwał mu przewodniczący. — Karaułowa! czy pani wie co ma oznaczać »mistyczne obcowanie?«

— Nie.

— Panie przysięgły! ona nie rozumie wyrazu »mystyczny«. Niech pan będzie łaskaw wyrażać się prościej. Wszakże widzisz prawdopodobnie z żalem, na jak niskim stopniu rozwoju umysłowego stoi ta biedna kobieta.

— Oblicze Chrystusa... oto fundament i zasada. Niebo rozwarło się po obrzezaniu i niema już grzechu, ani dobrych uczynków, ani bogactwa. Przerwany, dławiący szept, oto embrijon wszystkich sfinksów...

— Panie przysięgły! ja również nic nie rozumiem. Czy nie mógłbyś pan prościej?

— Prościej, nie mogę — żałośnie odparł przysięgły. — Mistyka wymaga odrębnego języka... Słowem... potrzeba tylko być blisko Boga.

— Karaułowa! czy pani rozumie? Potrzeba tylko być blisko Boga, nic więcej!...

— Nie!... Jak można być blisko przy takim zajęciu! Ja i lampki nie palę w pokoju. Inne palą, ja nie.

— Kilka dni temu — rzekła basem Krawczenko — gość nalał mi piwa do lampki. Ja na niego: »Ty psi synu, a do tego łysy!« A on mówi: »Cicho bądź małpo! światło Chrystusowe i w ciemnościach świeci«. Tak powiedział!

— Pani Krawczenko! bez anegdot, bardzo proszę!... A pan czego sobie życzy?

To świadek, komisarz cyrkułowy, w paradnym mundurze, dzwoni ostrogami.

— Jaśnie wielmożny panie, pozwól mi pomóc sam na sam z tą kobietą.

— A to na co?

— Ze względu na przysięgę, jaśnie wielmożny panie. Ja urzęduję w ich cyrkule, gdzie ich dom... Załatwię się z nią prędko, jaśnie wielmożny panie... Ona natychmiast złoży przysięgę.

— Nie! — odpowiada Karaułowa, blednąc cokolwiek i nie patrząc na komisarza.

On zwrócił ku niej głowę, — pierś z orderami pozostawiając dla sądu.

— Przysięgniesz!

— Nie!

— Zobaczymy!

— Zobaczy pan...

— Dosyć tego, dosyć! — gniewnie krzyknął przewodniczący. — Pan, panie komisarzu, udaj się na swoje miejsce! my, jak dotąd, usług pańskich nie potrzebujemy.

Brzęcząc ostrogami, komisarz oddala się z godnością.

Wpółśród publiczności rozlega się jakiś szept ponury. Rzemieślnik, który znów przeszedł na stronę Karaułowej, mówi:

— No, teraz trzymaj się, babo! Ząbki ci wyczyszczą, będą błyszczeć, jak samowar!

— Tego to już za wiele!

— Za wiele? Milczałbyś pan, kiedy nie rozumiesz... a ja tak rzecz pojmuję.

— Gdzie to panu brodę wyszczypali?

— Gdzie wyszczypali, to wyszczypali!... a pan powiedz lepiej, czy tu jest bufet trzeciej klasy? Trzebaby coś łyknąć za spokój duszyczki sługi bożej, Pelagii...

— Cicho tam! — krzyknął przewodniczący. — Panie komisarzu sądowy, proszę...

Komisarz podchodzi na palcach do miejsc, zajętych przez publiczność, ale zaledwie się zbliżył, wszyscy umilkli. Również na palcach odchodzi na swoje miejsce. Reporter gorączkowo zapisuje wąskie paski papieru; na twarzy jego maluje się zwątpienie, przewiduje bowiem, że cenzura pod żadnym pozorem nie pozwoli wydrukować tego, co napisał.

— Jak się panom podoba, ale kończyć należy — mówi jeden z sędziów. — Zyskujemy tylko skandal!...

— Zgadzam się, że... A pan czego żąda, panie obrońco? Już wszystko wyjaśnione. Niech pan siada!

Wygiąwszy wdzięcznie szyję i tułów, obciągnięty czarnym frakiem, obrońca mówi:

— Wszakże raz udzielono głosu panu zastępcy prokuratora?!

— A więc i panu głos się należy — z beznaziejną ironią odpowiada przewodniczący, kręcąc głową. — Dobrze... proszę mówić, jeżeli pan chce koniecznie, tylko, jeżeli łaska, jak najkrócej...

Obrońca zwraca się ku ławie przysięgłych.

— Dowcipne ćwiczenia pana zastępcy prokuratora, oraz komisarza cyrkulowego o teologii — rozpoczyna powoli.

— Panie obrońco! — przerywa mu surowo przewodniczący — proszę nie tykać osobistości.

Adwokat zwraca się w stronę sądu i kłania się.

— Słucham!...

Poczem znowu zwraca się do przysięgłych, obrzucając ich jasnym i przenikliwym spojrzeniem. Nagle zamyśla się głęboko. Obie ręce podnosi na wysokość piersi, zamyka powieki, marszczy brwi i wygląda na człowieka srodze zakochanego, albo przygotowującego się do kichnięcia. Tak publiczność, jak przysięgli patrzą na niego z zajęciem, czekając, co z tego będzie; tylko sędziowie przywykli do jego manier krasomówczych, przyjmują to wszystko obojętnie. Ze stanu zamyślenia wychodzi obrońca powoli i stopniowo: naprzód opuszcza ręce bezsilnie, potem z lekka otwiera powieki, następnie, nie bez zwłoki, podnosi głowę; wtedy dopiero, jakby wbrew woli, wyrrywają mu się z ust przenikające duszę wyrazy:

— Panowie sędziowie i panowie przysięgli!...

I dalej mówi on zupełnie niezwykle: to szepcze, lecz tak żeby go wszyscy słyszeli; to krzyczy głośno; to znowu zamyśla się i osłupiały, jakby porażony w śnie kataleptycznym, wodzi wzrokiem

po którymkolwiek bądź z przysięgłych, dopóki ten nie zmruży i nie odwróci oczu.

— Panowie sędziowie i panowie przysięgli! Wysłuchaliście przed chwilą wielce znaczącego dyalogu pomiędzy powołaną na świadka Karaułową, a panem komisarzem cyrkulowym, znaczenie zaś tego dyalogu nie jest dla was zagadką. Wziąwszy pod uwagę szerokie środki oddziaływania, jakimi rozporządza nasza administracja, a z drugiej strony jej niezmienny popęd do nawracania błądzących na łono prawosławia...

— Panie obrońco! co to znaczy? — oburza się przewodniczący. — Nie mogę pozwolić, abyś krytykował ustanowioną przez prawo władzę! Odbioreę panu głos!...

Zastępca prokuratora mówi niby skromnie, w rzeczy samej jednak z zapędem:

— Prosiłbym o pomieszczenie słów pana obrońcy w protokóle.

Nie zwracając uwagi na prokuratora, obrońca kłania się znowu sądowi:

— Jestem posłuszny. Panowie przysięgli! chciałem tylko powiedzieć, że pani Karaułowa, o ile ją zrozumiałem, nie zmieni swoich poglądów, nawet w niemożliwym poniekąd i u nas wypadku, gdyby jej zagrożono stosem, albo torturami świętej inkwizycji. W osobie pani Karaułowej widzimy, panowie przysięgli, odwrotny, że tak powiem, typ męczennicy chrześcijańskiej, która w imię

Chrystusa, wyrzeka się niby Chrystusa, mówiąc »nie«, gdy w rzeczy samej mówi »tak!«

Jakiś piękny, olbrzymi obraz, smutny, a jednak ku sobie pociągający, błysnął w głowie adwokata. Nagle zziębły mu palce. Głosem wzruszonym, w którym sztuka krasomówcza zaledwie połowicznie odgrywała rolę, mówił dalej:

— Ona jest chrześcijanką. Dowiodę wam tego, panowie przysięgli. Zeznania pani Pustoszkinoj i pani Krawczenko, oraz zeznania samej Karaułowej, narysowały przed nami pełny obraz gościńca, po którym doszła do smutnego stanu, w którym znajduje się obecnie. Niedoświadczona i naiwna dziewczyna; być może, zaledwie przewieziona ze wsi do miasta; oderwana od sielskich uciech niewinnych, dostaje się w ręce brudnego rozpustnika i przerażona, spostrzega nagle, że jest brzemienną. Odbywszy połóg gdzieś, prawdopodobnie, w jakiejś szopie, ona...

— Czy nie mógłbyś, panie obrońco, mówić krócej? Wiemy już oddawna, że pani Karaułowa jest prostytutką. Panowie przysięgli nie dzieci, wiedzą zatem także doskonale, jakie są jej zajęcia. Wróć więc z łaski swojej do sprawy chrześcijaństwa. Nadto, nawiasowo zaznaczyć muszę, że nie jest chłopką, lecz mieszczanką, z miasta Woroneża.

— Słucham, panie przewodniczący... Chociaż mniemam, że i mieszczanie mieć muszą właściwe sobie niewinne uciechy. Lecz do rzeczy. Pani Ka-

raułowa nosi w duszy swojej ideał człowieka, jakim według nauki Chrystusa być powinien; rzeczywistość zaś, z jej przystojnymi staruszkami, nalewającymi piwo do lampek, z pijackim śwędem, ze zniewagami, a może nawet z pobiciem, niweczy i obrzydza ów czysty obraz. W tak tragicznej kolizji, dusza pani Karaułowej rozrywa się w kawały. Panowie przysięgli, widzieliście ją tu spokojną, niemal uśmiechniętą, lecz czy wiecie, ile łez gorzkich w nocnej ciszy wylały jej oczy, ile ostrych igieł piekącego żalu i bólu wbiło się w to udręczone serce? Czy myślicie, że nie chciałaby, jak inne uczciwe kobiety, pójść do cerkwi, do spowiedzi, do komunii, w ślicznej białej sukience komunikantki, nie zaś w tej wstrętnej szacie grzechu i występku? Nieraz już może w marzeniach sennyh czołgała się na kolanach u stopni kamiennych, całowała je gorącymi pocałunkami, sądząc, że jest niegodną wejść do świątyni... Czyż to nie chrześcijanka? Któż w takim razie godzien nazwy chrześcijanina? Czyż w łzach jej nie ukrywa się najwyższy akt skruchy, który grzesznicę zmienił w Magdalenę?... w ową świętą Magdalenę, w ową powszechnie czczoną..

— Nie! — przerwała Karaułowa. — To wszystko nieprawda. Nigdy nie płakałam i nigdy nie żałowałam za grzechy. Co to za skrucha, jeżeli ciągle robię jedno i to samo! Proszę spojrzeć...

Otworzyła torebkę i wyjęła z niej chusteczkę

do nosa i portmonetkę. Położywszy dwa ruble srebrne i nieco drobnych na dłoni, wyciągnęła rękę do adwokata, a potem do sędziów. Jedna monetka zsunęła się z dłoni i potoczyła po wytartej, betonowej posadzce ku pulpitowi obrońcy, przy którym legła. Nikt nie pochylił się, by ją podnieść.

— Za cóż te pieniądze dostałam? Za to... za to samo. A ta suknia, a kapelusz, a kulczyki? Także za to, za to samo. Rozbierzcie mię do nagiego ciała, a nic mojego nie znajdziecie. Nawet to ciało nie moje; na trzy lata z góry sprzedane... Kto wie, może na całe życie. Życie nasze krótkie!... A w brzuchu moim co? Portwein, piwo, czekolada; gość mi wczoraj fundował, z czego wynika, że i brzuch nie mój. Nie mam ani wstydu, ani sumienia. Każecie mi rozebrać się do naga, rozbiorę się! Każecie na krzyż napluć — napluję!

Krawczenko rozplakała się nagle. Łzy jej nie toczyły się, lecz leciały bystre, zwiększającemi się kroplami, spadając — jakby na tacę — na piersi nienaturalnie wysunięte naprzód. Ocierała je nie pod oczami, lecz tam, gdzie ją lechtały, więc około ust i na podbródku.

— A oto, trzy dni temu, poślubiono mnie na żart z jednym gościem. Zamiast wieńców trzymano nad naszymi głowami nocniki; zamiast świec, butelki od piwa denkami do góry; a popa udawał inny gość, ubrany w moją jubkę, przewróconą na lewą stronę. A ona — Karaulowa wskazała na

płaczącą Krawczenko — a ona była mi matką. Płakała, zanosiła się od płaczu, jak gdyby nią była wistocie. Lubi popłakać! A ja śmiałam się, bo, po prawdzie, było to bardzo śmieszne. I cerkiew dla mnie obojętna; staram się koło niej nie przechodzić... nie lubię! Mówiono tu także »modlić się«, a ja nie umiem słów, któremi mogłabym się modlić. Wszystkie inne znam, nawet takie, których wy nie znacie, chociaż jesteście mężczyznami, a takich, jakimi modlić się bym mogła, nie umiem. Zresztą, o co miałabym się modlić? Tamtego świata nie boję się; gorzej w nim nie będzie, a na tym modlitwą niewiele wskóram. Modliłam się, żeby nie rodzić... urodziłam. Modliłam się, żeby chłopiec przy mnie pozostał, musiałam go oddać do ochronki; żeby choć tam pożył sobie... umarł. Nie mało było rzeczy, o które się modliłam, gdym była głupszą, ale dobrzy ludzie... dzięki im za to... oduczyli. Student oduczył. On także, jak i pan, prawił o mojem dzieciństwie i o wielu innych rzeczach, doprowadzając mnie do takiego stanu, że się rozbeczałam i wznosząc ręce w górę, zawołałam: »Boże miłosierny! zabierz mnie stąd czempędzej«. A student powiada: »Otóż teraz zostałeś człowiekiem, więc mogę z tobą mieć miłosny stosunek«. Oduczył! Ma się rozumieć, nie gniewam się na niego: każdemu przyjemiej całować się z uczciwą, niż z taką, jak ja, albo ona... lecz wiem, że mnie ani łyzy, ani modlitwy żadnej

korzyści nie przyniosą. Panowie sędziowie, naco z pustego w próżne przelewać! Jaka ja chrześcijanka! Jestem Grusza-cyganka, i za taką mię bierzcie, jaką jestem!

Karaułowa odetchnęła lekko i kiwnęła głową, błysnąwszy złotemi kołami kulczyków. Poczem zapytała z prostotą:

— Zgubiłam tu dwadzieścia kopiejek. Czy mogę podnieść?

Wszyscy milczeli, patrząc na Karaułową, gdy w pół zgięta, podnosiła monetę z ślizkiej podłogi.

— No a wy co? — z goryczą zwrócił się przewodniczący do Krawczenko i Pustoszkina. — Wy zgadzacie się na przysięgę?

— My zgadzamy się — płacząc odpowiedziała Krawczenko. — A ona nie!

— Panie przewodniczący! — mówił powstając z miejsca surowy i majestatyczny zastępca prokuratora. — Ze względu, że wiele wypadków, podanych tu do wiadomości przez świadka Karaułową, nosi na sobie w zupełności charakter szyderstwa z rzeczy świętych, ja, jako przedstawiciel nadzoru prokuratorskiego, chciałbym wiedzieć, czy nie pamięta nazwisk?...

— Co za szyderstwa z rzeczy świętych? — odparła Karaułowa. — Zwyczajnie, byli pijani. Zresztą ja nie pamiętam. Czy można wszystkich spaścić?...

Sędziowie naradzają się długo, lecz bezowocnie;

wzywają do siebie nawet prokuratora i przekonywająco, we dwa głosy, szepczą coś do niego. Wkońcu stanowią: »Przesłuchać świadka Karaułową bez przysięgi, ze względu na jej przekonania niechrześcijańskie«.

Pozostali świadkowie, zwartą grupą, cisną się do pulpitu, przed którym oczekuje już na nich pop z krzyżem, w ornat przyodziany.

Komisarz sądowy woła głośno:

— Proszę powstać!

Wszyscy powstają, zwracając się ku pulpitowi. Teraz Karaułowa widzi przed sobą tylko grzbiety, karki i potylice: łyse, porosłe włosom, okrągłe, płaskie, ostro-kańciaste.

Duchowny przemawia:

— Proszę podnieść ręce!

Wszyscy ręce podnoszą.

— Proszę powtarzać za mną — mówi zwykłym głosem, a innym ciągnie dalej: — Przyrzekam i przysięgam...

Tłum różno-tonnie powtarza. Z chóru wydziela się ciepło, dotąd jeszcze pełne łez kontralto Krawczenki.

— Przyrzekam i przysięgam...

— Wobec Boga wszechmogącego i Jego świętej ewangelii...

— Wobec Boga wszechmogącego i Jego świętej ewangelii...

Wszystko w porządku. Cała ceremonia odbywa

się jak należy: harmonijnie, lekko, przyjemnie. W czasie składania przysięgi i całowania krzyża, Karaulowa stoi nieruchoma, wpatrzona w jeden punkt — w plecy przewodniczącego.

Oddalono wszystkich świadków, Karaulową zatrzymano.

— Karaulowa! sąd uwolnił panią od przysięgi, lecz pamiętaj, że musisz zeznawać tylko prawdę, samą prawdę, według sumienia. Czy pani przyrzeka?

— Nie. Jakież u mnie sumienie? Mówiłam przecie, że nie mam sumienia.

— Cóż mamy z panią począć! — rozkłada ręce przewodniczący. — Ale pani prawdę rozumie, więc prawdę mówić będziesz?

— Powiem, co wiem.

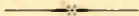
W ciągu półgodziny odbywa się sąd we wzorowym porządku i ciszy. Zapytania i odpowiedzi krzyżują się prawidłowo; prokurator coś notuje; reporter z bezdusznym, lodowatym wyrazem twarzy, rysuje na papierze dowcipnie pomyślane ornamenty. Obwiniony składa długie i bardzo szczegółowe objaśnienia. Ręce położył na grzbiecie, lekko pochyla się w tył i naprzód — i często spogląda na sufit.

— ...Co się zaś tycze kwitu z lombardu miejskiego na zastawiony przeze mnie rower, to pochodzenie jego jest następujące: roku zeszłego

w dniu 15 marca wszedłem do składu rowerów Marchlewskiego...

— ...Co się zaś tyczy moich niby hulank w wymienionym domu rozpusty, oraz tego, że miałem jakoby mieniać papierek storublowy, to powiem, że byłem tam wszystkiego cztery razy: 21-go grudnia, 7-go stycznia, 25-go tegoż stycznia i 1-go lutego, a trzy razy płacił za mnie kolega Protasow. Co się zaś tycze czwartego razu, gdym płacił sam osobiście, to proszę o pozwolenie przedstawienia sądowi zażądanego wtedy przeze mnie rachunku, z którego się okazuje, że ogólna suma wydatków, włączając...

Światło elektryczne płonie. Za oknami ciemność. Wesóło, ciepło, wygodnie.



Wiedząc iż matka weseliła się z kimś...
Wyszedłszy z domu...
w. wyrażony jest...
wskazywał...
powiem, że...
Ktoś pytał...
i - jakże...
Forsowa...
płacił...
zawdzięcza...
rachunku...
wydatki...

Wesoła, ciepło, wygodnie.
— Powiedz, co wiesz.

W tym wypadku...
...i...
...
...
...
...
...
...

— ...
...
...

— Klamałeś! Wiem, że klamałeś!

— Dlaczego krzyczysz?.. Czy chcesz, żeby
ci kto usłyszał?

KŁAMSTWO

— A teraz klamał?.. Klamał, klamał, lecz mo-
wiłem zupełnie szczerze. Mówiąc, trzymałem ją za
rękę, a ten jeden tylko, jedyny przepojony wyraz
„klamstwo”, syczał, jak małe dziecko.

— Ja cię kocham! — ciągnęła dalej. — Musisz
w to wierzyć. Czy ci tego nie dosyć?

Pocałowała mnie mocno, mocno. Lecz, gdy
chciała ją objąć i przycisnąć do piersi — już jej
nie było. Uciekła, a nawpół ślepego kurylarza,
a ją gonili za nią aż tam, gdzie konie się
wiosły, tańczący festyn. Nie wiem, gdzie się
bawił. Dlaczego miałbym wiedzieć? Pozostawiaj
mi, żebym tu przyszedł — więc przyszedłem i całą
noc patrzyłem na wirujące, rozjarzone pary. Nisi-
go to może nie słyszał, nikt we mnie nie rzucał
słów, a ja, obcy, wazytkiem i wazytkim walcem

KŁAMSTWO

I.

— Kłamiesz! Wiem, że kłamiesz!

— Dlaczego krzyczysz?... Czy chcesz, żeby nas kto usłyszał?...

I teraz kłamała, gdyż nie krzychałem, lecz mówiłem zupełnie cicho. Mówiąc, trzymałem ją za rękę, a ten jeden tylko, jadłem przepojony wyraz »kłamstwo«, syczał, jak maleńka żmija.

— Ja cię kocham! — ciągnęła dalej. — Musisz w to wierzyć. Czy ci tego nie dosyć?

Pocałowała mię mocno, mocno. Lecz, gdym chciał ją objąć i przycisnąć do piersi — już jej nie było. Uciekła z nawpół ciemnego kurytarza, a ja goniłem za nią aż tam... kędy kończył się wesoły, tańczący festyn. Nie wiem, gdzie się odbywał. Dlaczegoż miałbym wiedzieć? Powiedziała mi, żebym tu przyszedł — więc przyszedłem i całą noc patrzyłem na wirujące, roztączone pary. Nikt się do mnie nie zbliżał, nikt ze mną nie rozmawiał, a ja, obcy wszystkiemu i wszystkiemu, siedzia-

łem w kącie pod galeryą dla orkiestry, skąd ze skierowanej wprost ku mnie olbrzymiej, miedzianej trąby, wydobywał się jakby zdławiony przeraźliwy dźwięk, wstrząsający odgłosem, podobnym do przerywanego, brutalnego śmiechu: ho—ho—ho!...

Niekiedy zbliżał się do mnie obłok biały, pachnący — to była ona. Nie wiem w jaki sposób, niewidocznie dla otaczających, umiała pieścić się ze mną. Na króciuchną sekundę ramię jej dotykało mego ramienia; na króciuchną chwilę, spuszczać powieki, widziałem w wycięciu stanika jej niepokalanie białą szyję, a gdy podniosłem oczy, wpatrywałem się w jej profil biały, a tak klasycznie czysty, jak u aniołów, śpiących w zadumie nad mogiłą zapomnianego człowieka. Widziałem także jej oczy wielkie, spokojne, chciwe blasku — i piękne. Czarną zrenicę otaczała niebieska obwódka, a jak długo wpatrywałem się w nią, zawsze wydawała mi się równie czarna, równie głęboka i niezbadana. Być może, iż patrzyłem w nią krótko, że serce, w ciągu tak szybko przemijającej chwili, nie zdążyło ani razu uderzyć, lecz nigdy tak mocno i głęboko nie rozumiałem co jest wieczność; nigdy z taką siłą nie odczuwałem jej w sobie. Z przerażeniem i bólem pojmowałem, że całe moje życie, jak promienie słoneczne, tonące w wód zwierciadła, przelewało się w jej oczy, tak, że stawałem się obcym dla samego siebie, wygasłym, prawie martwym. Wtedy odchodziła ode mnie i, unosząc

życie moje, tańczyła z jakimś wysokim, pogardliwie na wszystkich spoglądającym i pięknym mężczyzną. Obserwowałem w nim najdrobniejszy szczegół: kształt obuwia, szerokość nieco podniesionych ramion; on zaś swoim wzrokiem zdawał się mnie wypchać w mury nas otaczające, więc stawałem się równie płaskim i nieistniejącym dla oka, jak ściana.

Gdy zaczęto gasić świece, zbliżyłem się do niej i rzekłem:

— Czas do domu. Odwiozę panią.

Zdziwiła się:

— Ależ ja z nim jadę! — wskazała na wysokiego, pięknego mężczyznę, który patrzył na nas. Odprowadziwszy mnie do pustego pokoju, pocałowała mocno, mocno.

— Kłamiesz! — rzekłem cicho.

— Dziś się zobaczymy. Musisz przyjść!... — odpowiedziała.

Gdy wracałem do domu, z poza wysokich dachów wyzierał mroźny poranek. Na ulicy było nas dwóch tylko: ja i woźnica. On siedział skulony na koźle, z twarzą pochyloną na piersi; ja siedziałem za jego plecami, ukrywając twarz głęboko... głęboko, aż do samych oczu. Woźnica miał swoje myśli, ja miałem swoje, a tam, poza grubymi murami, spało tysiące ludzi, którzy również mieli własne sny i myśli. Myślałem o niej i o tem, że kłamie; myślałem o śmierci i zdawało mi się, że świtem poranku rozjaśniające się mury patrzyły

na śmierć moją — dlatego zatem, są tak chłodne i obojętne. Nie wiem, o czem myślał woźnica. Nie wiem o czem marzyli ci, tam za ścianami. Lecz oni również nie wiedzieli, o czem ja myślę i marzę.

Jechaliśmy ulicami długimi i prostymi. Poranek wylał się z poza dachów domów. Wszystko wokół było nieruchome i białe. Obłok zimny, pachnący zbliżał się do mnie, a nad uchem śmiał się ktoś wzgardliwie: ho—ho—ho!...

II.

Skłamała. Nie przyszła. Czekałem na nią na próżno. Szary, chłodny mrok zwolna opadał na ziemię. Nie spostrzegłem, gdy zmierzch zamienił się w wieczór, wieczór zaś w noc — i myślałem, że to była wciąż jedna, długa noc. Chodziłem ciągle tam i napowrót. Nie zbliżałem się do domu, w którym mieszkała moja ukochana, ani do szklanych, poźółkłych drzwi pod żelaznym daszkiem. Jednakimi krokami chodziłem nieustannie po przeciwległej stronie ulicy — tam i z powrotem, tam i z powrotem. Idąc naprzód, nie odrywałem oczu od drzwi szklanych, a wracając, zatrzymywałem się ciągle i oglądałem za siebie. Wtedy śnieg ostremi igłami kłuł mię w twarz. Te igły były tak długie, że przedostawały się do samego serca, kłując go tęsknotą i gniewem bezsilnego oczekiwania. Od strony jasnej północy, ku mrokiem okrytej stronie południowej, wiał chłodny wicher; z świstem przelatywał po zamarzłych dachach, a porywając się z nich znowu, siekł twarz moją ostremi, małąnkami śnieżynkami

i uderzał w szyby rozbitych latarni, gdzie tlał samotny, drżący od zimna, żółtawy płomyk. Było mi ogromnie żal tego samotnego płomyka, żyjącego tylko nocą, i myślałem, że moje życie skończy się na tej samotnej ulicy. Odejdę — i tylko śnieżki sypać się będą na puste przestrzenie, a żółty płomyk wciąż drgać będzie i wyginać się — w samotności i zimnie.

Czekałem na nią ciągle. Nie przychodziła.

Marzyło mi się, że ja i ten samotny płomyk podobni jesteśmy do siebie zupełnie, tylko latarnia moja nie była stłuczona. Na przestrzeni, którą rozmierzałem krokami, ukazywali się kiedy niekiedy ludzie. Niespostrzeżenie wyrastali za moimi plecami. Olbrzymi i ciemni przechodzili koło mnie i, szarzejąc niby widma, ginęli poza ostrym konturem białego domu. Znów wychodzili z za węgła, doganiali mię pośpiesznie i powoli roztopiali się w szarej przestrzeni, pełnej cicho poruszającego się śniegu. Otuleni, bezkształtni, milczący — podobni byli jedni do drugich — i do mnie. Wydawało mi się, że dziesiątki tych ludzi chodzą, jak ja, tam i z powrotem; oczekują, ziębną i milczą, jak ja, rozmyślając o czymś, co jest ich myślą własną, zagadkową i smutną.

Czekałem na nią ciągle. Nie przychodziła. Nie wiem dlaczego nie płakałem, nie krzyczałem z bólu; nie wiem dla czego śmiałem się, radowałem i giałem palce, jak gdyby zakończone były pazu-

rami i jak gdybym trzymał w nich to maleńkie, jadowne — podobne żmii — kłamstwo. Wiło się w moich dłoniach, kąsało mię w serce, a od palącego jadu kręciło mi się w głowie. Wszystko było kłamstwem. Znikła granica pomiędzy czasem, w którym jeszcze nie żyłem, a chwilą, gdy żyć zacząłem. Począłem rozmyślać, że żyłem zawsze, albo też nie żyłem nigdy. Zawsze — gdym jeszcze nie żył; a gdy żyć zacząłem — ona zapanowała nade mną. Dziwnem mi się wydawało, że ma imię i ciało, że w istnieniu jej jest początek i koniec. Była bezimienną, zawsze tą samą, która kłamie; tą, co wiecznie czekać na siebie każe i nie przychodzi nigdy. Śmiałem się nie wiem dlaczego. Igły ostre wbiły się w moje serce, a w samo ucho ktoś śmiał się przerywanym, brutalnym śmiechem: ho—ho—ho!...

Otworzywszy oczy, ujrzałem oświetlone okna wysokiego domu. Zdawało mi się, że szeptały:

— Jesteś oszukany. Błędzisz samotnie, czekasz i cierpisz, a ona, piękna, błyszcząca i kłamliwa, słucha, co mówi jej piękny, wysoki mężczyzna, pogardzający tobą. Gdybyś wpadł i zabił ją, zrobiłbyś dobrze, zabiłbyś bowiem kłamstwo.

Silniej zaciskałem dłonie, w których nóż polyskał, i, śmiejąc się, odpowiadałem:

— Tak. Zabiję ją!

Okna jednak smutnie spoglądały na mnie. Czytałem w nich:

— Nigdy jej nie zabijesz! Nigdy, bo narzędzie, które trzymasz w dłoni, jest takim samym kłamstwem, jak jej pocałunki.

Oddawna już znikły milczące cienie; pozostałem sam wraz z drżącym od zimna i rozpaczy płomykiem. W oddali na wieży cerkiewnej zaczął bić zegar. Posępne, metalowe dźwięki drżały i płakały w powietrzu, ulatując w przestrzenie i zatracając się w masie bezmyślnie wirujących płatków śniegowych. Zacząłem liczyć uderzenia i rozśmiałem się. Zegar wybił piętnaście! Dzwonnica była stara, zegar równie stary; wskazywał godziny dobrze, wydzwaniał je tylko fałszywie, bijąc nieraz tak długo, że stary, osiwiwały dziad cerkiewny wdrapywał się na wieżę, aby zatrzymać rękami rozmachany, silnie uderzający młotek. Dla kogo kłamały te drżące, starcze dźwięki, pochwycone i otulone mgłą mroźną? Jakże głupie i godne politowania było to niepotrzebne kłamstwo!

Z ostatnim, kłamliwym dźwiękiem zegaru, drzwi szklane uchylły się nieco i po schodkach zeszedł ktoś bardzo wysoki. Widziałem tylko jego plecy, lecz poznałem je; wczoraj przecież widziałem te harde plecy. Poznałem i chód, chociaż lżejszy był i pewniejszy, niż wczoraj. Tak nieraz i ja odchodziłem od tych drzwi. Tak chodzą ludzie tylko co ucałowani kłamliwymi ustami kobiety.

III.

Groziłem i wołałem, zgrzytając zębami:

— Wyznaj mi prawdę!

Z zimną, jak śnieg twarzą, i dziwnie podniesionymi brwiami, zapytywała mnie:

— Czyż ja przed tobą kłamię?

Wiedziała, że dowieść jej kłamstwa nie jestem w stanie i że wszystkie kombinacje mojej wiecznie badawczej myśli mogą być zdruzgotane jednym jej słowem — jeszcze jednym słowem kłamliwym. Oczekiwałem na nie. Wyływało z jej ust, lśniące zewnętrznie wszystkimi kolorami tęczy, niejasne i zagadkowe w swej głębi.

— Kocham cię! Czyż nie jestem twoją?

Byliśmy daleko od miasta. Za oknem rozciągało się zaśnieżone pole. Ponad niem unosił się mrok; wokoło był mrok, ciemny, gęsty nieprzejrany, milczący; lecz ona jaśniała ukrytym blaskiem, jak twarz człowieka umarłego o zmroku. Jedna tylko świeca paliła się w dużym, dobrze

ogrzanyim pokoju, a i w jej płomieniach drgał blady odblask martwego pola.

— Chcę wiedzieć prawdę, choćby była stokroć bardziej gorzką, niż myślę. Być może, że dowiedziawszy się jej, umrę... wolę jednak śmierć od niepewności, która mię otacza. W twych rozkosznych pocałunkach, w twoich objęciach, czuję kłamstwo, widzę je także w twych oczach. Wyznaj mi prawdę, a ja na zawsze pójdę od ciebie precz — mówiłem do niej.

Milczała, a wzrok jej przenikał mię do głębi, wywracał duszę moją na nice, zazierał w nią z zdziwną, oburzającą ciekawością. Krzyknąłem:

— Odpowiadaj! ...bo cię zabiję!

— Zabij! — odpowiedziała spokojnie. — Nie-raz życie jest tak nudnem... Lecz czyż pogroźkami zdobył kto prawdę?

Wtedy uklękłem przed nią. Ujawszy jej ręce i płacząc, modliłem się do niej o litość i prawdę.

— Biedaku! — mówiła, kładąc mi dłonie na włosach. — Biedaku!...

— Zlituj się nade mną! — mówiłem. — Ja tak łaknę prawdy!

Patrzyłem na jej czyste, nieporysowane hieroglifami zmarszczek czoło — i myślałem, że prawda ukrywa się za jego cieniutką przeponą. Jak szalenie porywałem się z miejsca, pragnąc zerwać jej czaszkę, żeby choć raz jeden prawdę zobaczyć! Oto, pod piersią białą bije serce, — więc znowu,

jak szalony, chciałem paznogciami rozedrzeć jej łono, by raz ujrzeć obnażone serce ludzkie. Żółty płomień dopalającej się świecy zdawał się nieruchomy, gdy równocześnie ściany — jakby kołysane mrokiem — zdawały się otwierać. I było tak ogromnie smutno, tak ogromnie samotnie, tak ciężko...

— Biedny! — mówiła ona. — Biedny!...

Nagle w konwulsyjnych drganiach żółty płomień pochylił się — upadał, stawał się sinym, by w końcu zgasnąć na zawsze. Mrok nas otoczył. Nie widziałem ani jej twarzy, ani oczu; ręce jej objęły moją głowę i już nie czułem kłamstwa. Ukrywszy oczy w jej dłoniach, przestałem myśleć, żyć... Tylko to dotknięcie jej rąk wnikało we mnie i wydawało mi się prawdą. W ciemnościach — cicho dzwięczał szept bojaźliwy i dziwny:

— Przytul mię do siebie! Ja się boję!

I znowu cisza, i znowu stłumiony, pełen przestraschu szept:

— Chcesz prawdy? A czyż ja ją znam? Czy nie chciałabym jej poznać? Broń mię! Przytul do siebie. Ja się tak boję! Och, jak tu straszno!...

Otworzyłem oczy. Zblakły mrok komnaty w przestraschu uciekał od wysokich okien, przykucnął u ścian, kryjąc się po kątach; w okna zaś, spoglądało, milcząc, coś wielkiego, trupio - bladego.

Zdawało się, że jakieś oczy trupie gonią nas i otu-
lają swem mogilnem wejrzeniem.

Drżąc całym ciałem, siedzieliśmy przytuleni do
siebie, a ona szeptała:

— Och, jak tu straszno!...

IV.

Zabiłem ją.

Zabiłem — a gdy bezsilną, ciężką masą upadła mi do nóg, postawiłem stopę na jej trupie i zaśmiałem się. To nie był śmiech szaleńca, o nie! Śmiałem się dlatego, że pierś moja oddychała równo i swobodnie, a w jej wnętrzu panowała wesołość, spokój i pustka, od serca zaś odpadł robak, który je toczył. Nachyliwszy się, zajrzałem w jej martwe oczy. Wielkie niegdyś, chciwe światła, podobne były teraz do oczu lalek woskowych, również jak one okrągłe, bezbarwne — zda się — powleczone szkliwem. Mogłem je dotykać palcami, zamykać i otwierać; nie czułem już lęku, gdyż w czarnej, niezbadanej źrenicy już się nie ukrywał demon kłamstwa i ułudy, który tak długo i chciwie pił krew moją.

Gdy mnie ujęto, śmiałem się, a ludziom, którzy mię ujęli, wydało się to dziwnem i strasznem. Jedni ze wstrętem odwracali się ode mnie i precz

odchodzili; inni wprost groźnie, z wyrzutem na ustach, szli ku mnie. Lecz, gdy oczy ich spotkały się z mojem wesołem i jasnym spojrzeniem, twarze ich bladły, a stopy wrastały w ziemię.

— Waryat! — mówili. — Zdawało mi się, że w wyrazie dopomagającym im zrozumieć zagadkę: w jaki sposób kochanek może zabić kochankę i być wesołym — znajdują pocieszenie. Tylko jeden z nich — tłusty, jak wieprz, z rumianymi policzkami — nazwał mię inaczej, i nazwa ta uderzyła mię, niby obuchem, zaciemniając światło w oczach.

— Biedny człowiek! — powiedział ze współczuciem i bez ironii. (Nic dziwnego był tłusty i wesoły). — Biedny!...

— Dość tego! — krzyknąłem. — Zabraniam ci nazywać mię biednym.

Niewiem dlaczego rzuciłem się ku niemu. Naturalnie, nietylko nie chciałem go zabić, lecz nawet dotknąć go nie chciałem. Wszyscy jednak, wystraszeni — widząc we mnie waryata i zbrodniarza — przełękli się jeszcze bardziej, wrzeszcząc przytem tak pociesznie, że mię znowu śmiech porwał.

Gdy mię wyprowadzano z pokoju, w którym trup leżał, patrzyłem na rumianego, tłustego człowieka i krzyczałem głośno:

— Jam szczęśliwy! Jam szczęśliwy!

I to była prawda.

KONIEC.



SPIS RZECZY.

	Str.
Gubernator	1
Chrześcijanie	103
Kłamstwo	139

Handwritten signature or initials in dark ink, possibly reading "L. H." or similar, located in the upper left corner.

A large, stylized handwritten mark or signature in purple ink, extending diagonally across the page from the upper right towards the lower left. It features a thick, dark purple stroke with several thin, sweeping lines extending from it.